

MARIUSZ SZCZYGIEŁ



NIE MA



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 11(279) Żelów, listopad 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Aresa Chadzinikolau, Ludwika Filipa Czecha, Andrzeja Dębkowskiego, Zbigniewa Gordzieja, Czesława Kuśmierka, Pawła Kuzory, Małgorzaty Latawiec, Joachima Neandera, Jerzego Stasiewicza

Andrzej Dębkowski – *Czy Witkacy wstąpiły do partii?*

Leszek Żuliński – *Polski Grek czy grecki Polak?*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Odwrotna strona*

zwierciadła duszy oraz Pod kopułą limanowskiego nieba

Kazimierz Iwosse – *W górach jest wszystko, co kocham*

Stefan Jurkowski – *Dwie Jesienie*

Joanna Friedrich – *Lekki galimatias*

Henryk Gała – *Niewiersze*

Andrzej Walter – *Gdzie my, tam niebo coraz bliżej*

Miroslaw Mrozek – *Bohater charakterystyczny*

Miroslaw Osowski – *Moja walka z rakiem (2)*

Dariusz Pawlicki – *O książkach i ich (nie) czytaniu*

Paweł Kuszczynski – *Podarowane piękno*

Monika Maciejczyk – *Pożegnanie Bogusława*

Urszula Bereszczynska – *Przewrotna rozspyka*

Andrzej K. Torbus – *Portret chłopaka z ulicy*

Jan Stępień – *Refleksy*

Witryna

Opinie, Noty, Poglądy

Informacje, Kronika

Konkursy

Szkice, Eseje

Publicystyka, Felietony

Krytyka

Filozofia

Bohater...

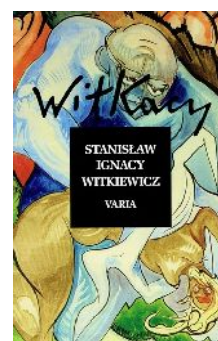
Dziwnym trafem w swoich poszukiwaniach czytelniczych natrafiam ostatnio na powieści dość osobliwe, ich bohaterami są albo różnego autorem wariaci, których zgubiły książki, albo kretyni, którzy przemieniają się w geniuszy, by później skretynieć ostatecznie, albo nawet kosmici, którzy upodobali sobie w swoich osiedleńczych praktykach wcale nie amerykańskie Roswell, ale Śląsk, który czasami należy do Niemiec a czasami do Polski.

I tak w trakcie ostatnich tygodni przeczytałem Przemysłnego Szlachcica Don Kichota z Manczy we wspólnym tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa, Auto da fé Eliasa Canettiego, Kwiaty dla Algernona Daniela Kесеya oraz Utopka Leszka Libery.

Pisarze to jednak podli ludzie. Bierze sobie taki sadysta bogu ducha winnego hiszpańskiego szlachcica, który zamieszkuje na przefomie szesnastego i siedemnastego wieku okolice Manczy.(...) – **pisze Miroslaw Mrozek na stronach 8 i 9.**

Czy Witkacy wstąpiły...

Kultura i sztuka były zresztą zawsze kulą u nogi wszystkich systemów, więc trudno dziwić się, że jest coraz gorzej. A pytanie o to, czy w najbliższym czasie coś zmieni się na lepsze jest tak samo retoryczne, jak to, czy Witkacy wstąpiły w swoim czasie do partii robotniczej, gdyby przedwcześnie nie zakończył swojego życia i przeżył wojnę? To drugie pytanie jest jednak bardziej prawdopodobne, bo być może Witkacy uznały ten fakt, jako jeden z ważnych elementów swojego niekonwencjonalnego życia. Międzywojenna bohema artystyczna znana była z tego typu poczynań, więc wyobrażenie sobie Witkacego, jako działacza partyjnego, który na kolejnym zebraniu, objaśnia swoim współtowarzyszom znaczenie dramatu „Wariat i zakonnica” jest czymś zupełnie normalnym. Zresztą jeżeli ktoś ma szerokie horyzonty może i wyobrazić sobie to, że po nowym roku wchodzi do księgarni i widzi oprawione w skórę powieści współczesnej literatury polskiej i obcej po np. 5 złotych lub niepiarackie płyty kompaktowe po 20 złotych. (...) – **pisze Andrzej Dębkowski na stronie 15.**



O książkach i ich (nie) czytaniu

(...) Źródła ciepła wypełniającego pomieszczenia, w których odbywa się kontakt z książką, są obecnie zdecydowanie inne niż w epokach minionych. Lecz wspomnienia związane z tymi dawnymi, wciąż są żywe, powracają do nas. I odnoszą się właśnie do czasów sprzed epoki książki drukowanej. Są więc bardzo odległe. Odwołują się do prastarego zwyczaju opowiadania historii o zmroku, gdy paliło się ognisko, albo drwa na kominku. Snucie opowieści nabierało szczególnej intensywności właśnie zimą. Przerwa w pracach rolnych, a co za tym idzie, zdecydowanie więcej wolnego czasu i potrzeba jego zagospodarowania, sprzyjały takiej formie spędzania wieczorów. W epoce otwartego ognia, słuchaniu opowieści towarzyszyły intrygujące cienie rzucane na ściany przez drgające, ruchliwe języki ognia. Stanowiły one rodzaj żywej scenografii. Zaś rozmaite dźwięki towarzyszące spalaniu się drewna czy chrustu dostarczały dodatkowych efektów. Dodatkowych, gdyż za te główne była odpowiedzialna osoba opowiadająca. Niejednokrotnie te wizualne i dźwiękowe efekty, stawały się wręcz dopełnieniem opowiadanych historii, szczególnie tych grozy. Pobudzały, i to bardzo skutecznie, wyobraźnię. To, że obecnie snucie opowieści jest czymś niezmiernie rzadkim, przynajmniej na Zachodzie, to wynik ekspansji, chociażby, telewizji. (...) – **pisze Dariusz Pawlicki na stronach 8-10.**



Kronika

Czterech laureatów z ZLP

Tego jeszcze nie było! Aż czterech członków zielonogórskiego oddziału ZLP zostało w tym roku laureatami Nagrody Kulturalnej Miasta Zielona Góra przyznanej przez prezydenta.

10 września w pałacu w Starym Kisielinie odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej Zielonej Góry, podczas której wręczono laury. Uchonorowani zostali trzej poeci i prozaik: **Władysław Klepka**, **Robert Rudiak**, **Alfred Siatecki** oraz **Eugeniusz Kurzawa**. Nagrody wręczył prezydent miasta **Janusz Kubicki**. Każdy z twórców został w dość oryginalny, poetycki sposób zaprezentowany. Poza pisarzami wyróżniono również znakomitych plastyków, muzyków, słowem twórców zasłużonych dla miasta.

Korzystając z okazji, że na sali był prezydent, jak i radni, Eugeniusz Kurzawa wygłosił emocjonalny apel do władz w sprawie powołania w mieście placówki archiwalno-badawczo-muzealnej poświęconej literaturze. Powiedział m.in., że jako Polacy jesteśmy obecni w Zielonej Górze zaledwie 74 powojenne lata. I nasze, polskie ślady są tutaj niezbyt jeszcze wyraźnie zaznaczone. Dlatego warto dbać o te nieliczne, które zostawili twórcy, w tym wypadku pisarze, tacy jak: Michał Kaziów, Janusz Koniusz, Anna Tokarska, Andrzej K. Waśkiewicz, Mieczysław Warszawski i inni, którzy już odeszli. E. Kurzawa nawoływał do zadbania o niepowtarzalne pamiętki pozostałe po ociemniałym i okaleczonym pisarzu M. Kaziowie, o archiwum J. Koniusza, A. Waśkiewicza i pozostałych kolegów. Opowiedział, jak to w mieszkaniu J. Koniusza w okresie powojennym czekali na pociąg do Warszawy – po spotkaniach autorskich w Zielonej Górze – Mieczysław Wańkiewicz, Julian Przyboś i inni wybitni pisarze polscy. Nie dziwi zatem, iż mieszkanie przy al. Niepodległości 35 nosi do dziś aurę tamtych twórców. Dlatego właśnie w nim warto by urządzać wspomnianą placówkę, zdeponować dorobek literacki pisarzy z miasta i regionu, badać i pielęgnować. E. Kurzawa wspominał, że córka J. Koniusza – Donata Koniusz, skłonna byłaby oddać to mieszkanie na ów zbożny cel. Czy jest szansa, że zostanie on zrealizowany? Sprawą zainteresowali się niektórzy radni. Oby się udało. Zielona Góra i jej literatura na pewno na to zasługują.

Henryk Gierałowski

Konkursy

Ogólnopolski Konkurs Poetycki XXVI Piastowskiej Biesiady Poetyckiej

Jury Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego XXVI Piastowskiej Biesiady Poetyckiej w składzie: **Rena Marciniak-Kosmowska** – przewodnicząca, **Edyta Kulczak**, **Paweł Kubiak**, **Andrzej Wołosewicz**, po wnikliwym przeczytaniu 137 zestawów wierszy i dyskusji o ich poziomie, na posiedzeniu w dniu 7 września 2019 roku przyznało nagrody: I – 1.000 zł **Krzysztofowi Ziemi-**

skiemu z Zielonej Góry, II – 750 zł **Leszkowi Wójcikowi** z Lubaczowa, III – 500 zł **Piotrowi Zemankowi** z Bielska-Białej oraz cztery równorzędne wyróżnienia po 300 zł: **Oliwii Betcher** z Warszawy, **Małgorzacie Cybulskiej** z Łodzi, **Małgorzacie Chodyka** z Międzyrzecza Podlaskiego, **Tadeuszowi Knyziakowi „Coobusowi”** z Warszawy.

Nagrody literackie im. ks. Jana Twardowskiego za rok 2018

Kapituła Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego w składzie: ks. **Janusz Adam Kobierski** – przewodniczący Kapituły, poeta, krytyk literacki; **Stanisław Grabowski** – sekretarz Kapituły, poeta, pisarz; **Piotr Szewc** – poeta, krytyk literacki, redaktor działu poetyckiego w miesięczniku „Nowe Książki”; **Wojciech Kaliszewski** – poeta, krytyk literacki; **Grzegorz Zegadło** – dyrektor Książnicy Pruszkowskiej im. H. Sienkiewicza; **Jan Rodzim** – wydawca poezji ks. Jana Twardowskiego po zapoznaniu się z wydanymi w roku 2018 nadesłanymi tomami wierszy, i po dyskusji, zwróciła szczególną uwagę na zbiorki **Jerzego Binkowskiego** „Złoty ciężar snu” (Wydawnictwo BUK, Warszawa 2018); **Piotra Dumina** „Gra w otwarte” (LSW, Warszawa 2018); **Wojciecha Gawłowskiego** „Muzeum Dusz Czyścicowych” (Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2018); **Jadwigi Maliny** „Czarna załoga” (SPP, Kraków 2018); **Jana Polkowskiego** „Pochód duchów” (Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2018); **Czesława Mirosława Szczepaniaka** „Ukradkiem” (Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2018); **Piotra Wojciechowskiego** „Chleb z deszczem” (Oficyna Wydawnicza Wolumen, Warszawa 2018).

Ostatecznie, po głosowaniu, laureatem Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego za rok 2018 został **Piotr Wojciechowski** za książkę „Chleb z deszczem”.

Ponadto Kapituła postanowiła przyznać dwa równorzędne wyróżnienia: **Wojciechowi Gawłowskiemu** za tom „Muzeum Dusz Czyścicowych” oraz **Czesławowi Mirosławowi Szczepaniakowi** za tom „Ukradkiem”.

Sponsorem nagród pieniężnych jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Uroczysty finał Konkursu oraz wręczenie Nagród odbędzie się w niedzielę, 17 listopada o godzinie 16.00 w Sali Koncertowej Muzeum Starożytnego Hutnictwa Mazowieckiego, przy Placu Jana Pawła II w Pruszkowie.

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Janusza Różewicza

12 października, w Miejskim Domu Kultury w Radomsku rozstrzygnięto „XI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Janusza Różewicza”. Konkurs przebiegał w dwóch etapach, najpierw uczestnicy przesyłali po kilka wierszy, potem finalistów poproszono o przedstawienie materiału poetyckiego na cały tomik. Na rozstrzygnięcia obecni byli finaliści oraz członkowie jury, **Bohdan Zadura** i **Dorota Koman**. Nagrodę główną przyznano **Wioletcie Ciesielskiej-Rudnickiej** z Kocierzewa Południowego (woj. łódzkie). Zwycięzcy tomiki wyda swoją poezję w debiutanckim tomiku. Wśród finalistów znaleźli się: **Martyna Ćwiąkała** z Krościenka Wyższego, **Paweł Ślusar-**

czyk z Zakopanego, **Łukasz Cabajewski** z Warszawy, **Paulina Cedlerska** z Działdowa, **Katarzyna Kadyjewska** z Rzeszowa i **Aleksandra Paprota** z Wrocławia. Konkurs zorganizowano w ramach kolejnej edycji Różewicz Open Festiwal.

Nagrody, nagrody, nagrody

Podczas tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji nagrodzono i wyróżniono wiele osób: **Kazimierza Burnata** – Nagrodą im. J. Iwaszkiewicza za promocję i upowszechnianie literatury współczesnej, **Stefana Jurkowskiego** – Nagrodą im. Juliusza Słowackiego za całokształt twórczości, **Andrzeja Tchórzewskiego** – Literacką Nagrodą im. J. Iwaszkiewicza za całokształt twórczości. **Anna Maria Musz** została wyróżniona odznaką honorową Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Wcześniej nagrodzono **Aldonę Borowicz** – Nagrodą im. Władysława S. Reymonta za działania okołoliterackie.

Niewiersze Henryka Gały

PPP

Gabaryty, okropnie brzmiące słowo (z francuskiego), w miejsce swojskich wymiarów. Używam go celowo. Wymawianie starannie wstrząsa. Jednak wstrząs brzmieniowy dotknął nielicznych. I to oni, jeśli użyją tego słowa w całym jego znaczeniowym rozgałęzieniu, będą sprawiedliwymi.

Wymaga to niemałego wysiłku i odwagi, idzie bowiem o gabaryty, wymiary / rozmiary prawd głoszonych przez rządzących teraz Polską, naszym krajem czyli państwem i społeczeństwem.

Początkowo wielu z nas nie mieściły się w głowach.

Po pewnym czasie jednak zaczęły się mieścić, zostawiają nawet wolną przestrzeń, co wyglądać może na to, że prawdy te zżerają dotychczasową zawartość naszych głów, aby stworzyć miejsce dla nowych „prawd” dzierżących władzę nad nami.

Gabaryty takiej na przykład przyzwoitości czyli niespisanych kodeksowo granic prywaty w rządzeniu, mają już nanorozmiary. Jak w sprawie eksprezesa NIK (nazwiska takiej osoby się nie lansuje). Bez trudu więc mieszczą się w naszych głowach. Zdaje się nawet, że nic nie wystaje, ani – broń rozumie – nie gubi. Nie wypada, w sensie nie gubi się, nie zaś narusza jakiegokolwiek zasady, na przykład obyczajowego. Prawdziwy Polak Potrafi.

Gabaryty bezprawia, sankcjonowanego parlamentarnie... Jak, jak, jak?

Gabaryty bezprawia sankcjonowanego parlamentarnie (sic!), nie szkodzą, dopóki ich egzekucja nie dotknie nas personalnie... Tak, tak, tak. Powyższe zdanie sformułowałem będąc w stanie brzmieniowego wstrząsu i jego echa w rosnącej przestrzeni mojej głowy. Proszę o przychylnie zrozumienie.

A 13. października przyniosło pewną ulgę, tym, że lewica wróciła do sejmu. Mam nadzieję, proszę o przychylnie zrozumienie, że jej liderzy wiedzą, że nie wolno im, żadnemu z nich, popełnić błędu samozadowolenia.

Andrzej Walter

Gdzie my, tam niebo coraz bliżej

Jednym z najbardziej zagadkowych tomów poezji, z jakim dane mi się było w swoim życiu zetknąć okazał się zbiór wierszy sprzed siedmiu już lat, znanego i rozpoznawalnego wielkopolskiego poety **Zbigniewa Gordzieja** zatytułowany „Piórem po żebrach anatomii”. Nienapisanie o nim przez te siedem lat to w moim odczuciu ogromne zaniedbanie, niedopatrzenie, tudzież mój wielki wyrzut sumienia.

Długo się też broniłem przed konsekwencjami wniknięcia w tę podróż. Ten tom ma bowiem dla mnie swoją jakże niepowtarzalną historię. Wkroczył on bardzo mocno i odważnie na najważniejsze medyczne salony. Czytał go (i to z pewnością dość wnikliwie) sam profesor Marian Zembala (którego cenię, szanuję i podziwiam). Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że najważniejszy kapitan polskiej kardiologii sam pisuje (niezłe) wiersze, że ów lekarz wielkiego serca, sam serce ma na wyciągnięcie swojej drogocennej dłoni, wtedy nie przeczuwałem jak mogą splatać się: poezja z medycyną i jak mogą współistnieć, dopełniać się, kreować duchową intensywność i jakże często wyrażać się w literackich poszukiwaniach najważniejszych prawd życia przez lekarzy, właśnie w słowie.

I nagle dotarło do mnie, że Zbigniew Gordziej odwrócił ten porządek. Stał się sam naprzeciw wzbierającej fali piszących i poszukujących lekarzy, jako poeta, który najbardziej indywidualnie i samodzielnie odkrywa zagadki (nazwijmy to – nieśmiertelności) w potężnych i rwących meandrach medycyny, w jej szerokim spektrum odcieni, w jej gąszczu odkrywania, wreszcie w jej urzekającym, magnetycznym przyciąganiu wszelkich umysłów niepokornych.

Medycyna dla Zbyszka Gordzieja to niemal kamień filozoficzny ludzkości, kwintesencja jedności wszystkich żywiołów, najważniejszy szlak, na którym można bodaj najwięcej uczynić dla ludzkich istnień. I jest w tym Gordziej doprawdy niesamowicie przekonywujący. Jego poszukiwania poetyckie na kartach „Piórem po żebrach anatomii” docierają o wiele dalej niż nam się wydaje, choćby po pierwszej lekturze wierszy. Przywołuje postaci z różnych specjalizacji i epok, największych z wielkich, i obok tych mniej znanych, przywołuje lekarzy z krwi i kości (z żeber anatomii) i jakże idealnie ludzkich, oddanych bliźniemu i nauce, oddanych odkrywaniu i służbie, oddanych wierze i wytrwałości oraz oddanych idealizmowi postawionemu ponad naszą ludzką śmiertelność w

imię niesienia ulgi drugiemu człowiekowi.

Gordziej nie ukrywa swojej fascynacji. Rozmawia z nimi, zadaje im niewygodne pytania, które i nas, uwierają u swych źródeł, jak i w szerszej perspektywie, poeta czasem rozważa nawet sam ze sobą, ale i dla nas to czyni, jak to jest, chcieć za wszelką cenę podarować kolejny dzień. W medycynie bowiem liczą się fakty, wyliczenia, diagnozy i prognozy prawdopodobieństwa, ubrane jednakowoż w bezbarwny konkret, od którego często nie ma już odwrotu. Jego bezbarwność, jak się okazuje, może jednak mieć swoje kolory, może tylko odcinienie, szkopuł w tym, że każdy z nas widzi jej jakby inaczej.

Zbigniew Gordziej stworzył tom wyjątkowy i bardzo przewrotny. Jego artyzm ukrywa się między słowami, między znaczeniami i stanami świadomości, pomiędzy dygresjami życiorysów przywołanych postaci, pośród gąszcza tajemnic kryjącymi się za losami lekarzy, za ich sumieniami, duszami, za ich myślami, motywacjami i niespełnionym często pragnieniem. Jego wymiar jest tak mocno intelektualny, że jest to tom wierszy tylko dla ludzi cierpliwych, dociekliwych, słowem dla tych, którzy odważą się przyznać o swej niewiedzy przed samymi sobą i po odszukaniu niezbędnego kontekstu pojmą wielką ideę. To jest tom dla ludzi pokornych i tych, którzy jednocześnie: trwożą się, ale i szanują przypadek Końca. Koniec jest bowiem niemal namacalnie nieuchronny, lecz jego nieuchronność jest też tak dalece wielowymiarowa, że dajemy wiarę poecie, kiedy wskazuje nam czym jest: ból, czym jest jego (poety) górskie marzenie (jako panaceum) i (ludzkie) wyzwanie, tudzież jak mocno poezja splata się z medycyną właśnie i z życiem, z Tatrami, z miłością i z nadzieją, wreszcie też – z najprostszą codziennością, którą stabilizuje się najlepiej naszymi małymi ucieczkami w inność.

Bardzo ciekawie zgłębia się tom, tom, którego się nie rozumie, który jednakowoż fascynuje, przez który się nieśpiesznie przedziera i który się stopniowo i powoli się przed nami otwiera. A na końcu jest (jak zawsze) wielka nagroda. Są myśli i spojrzenia, chwile zachwytu i chwile refleksji. Oddała się samolubne, beznadziejne i przewrotne ja, a w zamian przychodzi cały niepokój czasów, ludzkiego, pięknego dążenia do pomagania drugiemu człowiekowi, a potem też, jakby w kontredansie przychodzi nasze bliskie, zawsze wytęsknione, wymarzone i jedyne, najpiękniejsze góry na świecie – Tatry, gdzie zaczyna się Polska i gdzie leżą

już chyba od dawna wszystkie nasze serca od tych właśnie najlepszych gór do morza...

Ja głęboko i prawdziwie tę Zbyszkową tęsknotę rozumiem i podzielam. Tatry bowiem to coś więcej niż tylko góry. To Góry Przemienienia. To Góry zagubienia i odkrycia, góry naszych ludzkich ścieżek, którymi jedni szli do Boga, inni do nadziei, a jeszcze inni do samego siebie. Czymkolwiek była ta droga, jakkolwiek był jej kres, była z pewnością wymiarem przeznaczenia i jako takie Tatry stanowią dla nas pewien mit, czy symbol, a może i nawet pewnego rodzaju: odnośnik, drogowskaz czy jakże niezbędną pułstelną. Tatry to najczystsze źródło naszej dojrzałości. Prawie każdy z nas nosi w sobie jakąś historię związaną w Tatrach. To bardzo wiele. Zbigniew Gordziej opowiedział nam tu swoją.

Jego historia jest... subiektywna. Czyja taką nie jest?

Jest trudna, jak wszelkie nasze historie. Jak oczekiwanie na Tanatosa, jak okowy cierpienia, jak lęk przed bólem, jak Jaskinia Mylna, jak sale operacyjne, tęsknoty, wspinaczki na te wszystkie nasze góry, na które z syzyfowym uporem wspinamy się od lat... aby znów dostać kopniaka i rozpocząć znów, beznamiętnie i uporczywie od początku.

Ta medycyna, idee fixe u Gordzieja ma posmak wieloraki: renesansowy, tantryczny, aksjologiczny, magnetyczny i magiczny i jeszcze wielu, wielu sensów i innych wysublimowanych wydzźwięków możemy się tu dopatrzeć, a w połączeniu z tymi Gordziejowymi Tatrach:

*kiedy z lampką czerwonego wina w ręce
wyszedłem by spojrzeć
w niebieskie podniebienie Ziemi
(...)*

*zrezygnowałem z zagranicznych wojaży
wszedłem na Kozi Wierch
niebo było bliżej
pogłaskało mnie po twarzy
słońce rozjaśniło źrenice*

Słowa wołały o papier

I zawołały bardzo donośnie. A pomiędzy tatrzańskim echem, lawiną, miłością i medycyną odnajdziemy trzy jakże ciepłe, piękne i osobiste wiersze, do Żony, do Ojca i do Matki. Poeta jakby się tłumaczył, jakby ma sam przed sobą skrupuły wyboru tej własnej drogi w życiu. Ma chyba sumienie, wciąż

(Dokończenie na stronie 4)

Gdzie my, tam niebo coraz bliżej

(Dokończenie ze strony 3)

żywe, czułe i wrażliwe. Niezatapialne wręcz. Wiem to, bo znam Go osobiście i czuję się taką znajomością ... zaszczyceni, cokolwiek Zbysiu po nas pozostanie. Wiesz jak to jest, po prostu, coś nam każe ... resztę każdy sobie tu dopisze sam.

Czuję się zaszczyceni ze względu na zachyn przyjaźni, ze względu na to, że pomimo różnic w poglądach odczuwamy obaj chyba pewną jedności idei, wspólnotę przekonań najgłębszych i solidarność fascynacji tego największego osiągnięcia ludzkości – renesansowego humanizmu, będącego motorem ludzkości w jej dążeniu ku realnej chęci poprawy ludzkiego losu. Wiemy już też, że dobrymi chęciami piekło brukują, ale z drugiej strony „piekło to inni” jak mawiał Sartre, a gdzie jest to piekło, no ba, tego już chyba nikt nie wie... no, może Michał Bułhakow... który jakże sugestywnie opisał bal w piekle... i to jest właśnie nasze życie: książki, ludzka myśl, empatia, prawda, cel, idea, wspólnota, i wreszcie najważniejsza – sztuka... w końcu poświęciliśmy Jej całe życie...

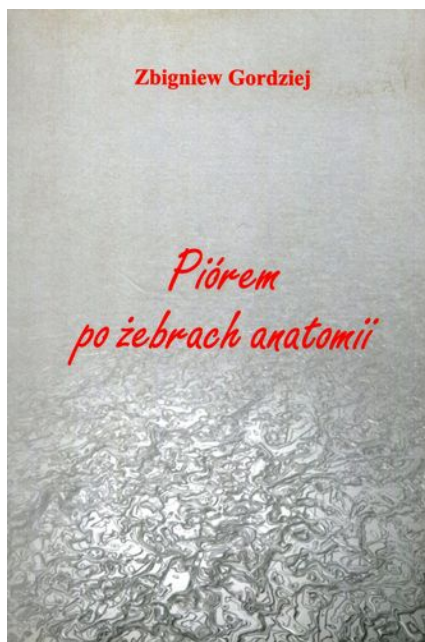
Ten tom urzeka swoją autonomią. Czaruje swoją innością. Poraża przemyśleniami intelektualisty przełomu wieków i prowadzi nas dostojną ścieżką ludzi wielkich, dla których słowo Człowiek znaczyło o wiele więcej niż słowo Ja, dla których medycyna nie była tylko nauką, ale innym wymiarem rozpoznania rzeczywistości i rzucenia jej brawurowego wyzwania, wreszcie dla których ból, lęk i cierpienie nie były zamkniętą oczywistością, ale ledwie bramą w te nowe przestrzenie, gdzie możemy po prostu je przewyciężyć i pokonać. Medyczna fascynacja Gordzieja ma zatem głęboko humanistyczne podłoże, naznaczone sztuką i literaturą, naznaczone poezją i poszukiwaniem wymarzonej Arkadii, ale z możliwością odnalezienia jej tylko przez pryzmat drugiego człowieka.

„Piórem po żebrach anatomii” to tytuł bardzo skromny. Nie znajdziecie w nim próżności, pysznienia się, nonszalancji, sileńia się na oryginalność, to tytuł osobisty, taki Gordziejowy sposób spojrzenia na świetny tom poezji, który napisał. Nie jest to jednak skromność bezradna. W tej skromności jest i siła. Siła polegająca na bezkompromisowości i to bezkompromisowości uzasadnionej, popartej argumentem, istotą, esencją, w nade wszystko wiecznie żywą ideą. Jest nią wiara w to, że człowiek nie powinien być świnią, nie powinien się upadlać, upokarzać, załamać i dać złamać. Jest nią wiara, że człowiek to coś więcej niż systemy, które stwarza, czy to systemy świeckie czy religijne. Tu też jest ten pomost, który nas łączy. Nas oraz wszystkich ludzi dobrej woli. To przesłanie oczywiste po lekturze tej wytrawnej poezji. Poszukiwania Zbigniewa Gordzieja są warte lektury. Są

warte czasu, zgłębienia i zanurzenia się w tę poetycką wizję medycznego świata, być może dalece odrealnionego od polskiego systemu tak zwanej służby zdrowia, lecz nie o to w poezji chodzi, aby być kreatorem realista. W tym też kontekście tom Gordzieja jest bardzo ważny, gdyż przypomina nam wszystkim ten, być może dziś zapomniany, mistyczny wymiar medycyny i powołania do medycyny.

Jestem sam z rodziny lekarskiej. I prawdę powiadam Wam, wiem o czym mówię i piszę. Dzisiejszy lekarz (w większości, bo nie wszyscy) to cynik z zanikiem empatii. Nie to jest jednak tematem tego tekstu. Jest nim – nie życie w aspekcie trudów współczesności – ale poezja. Poezja i medycyna. Taty i wielka tęsknota... dla takich jak Gordziej świat to za mało. I po lekturze Jego tomu coraz mocniej wierzę, że *gdzie my, tam niebo coraz bliżej...*

Andrzej Walter



Zbigniew Gordziej, „Piórem po żebrach anatomii”. Wydawnictwo Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, seria wydawnicza LIBRA nr 46, Poznań 2012, s. 56.



Zbigniew Gordziej

Inna barwa

Przepadł mit że szyszynka siedliskiem duszy
O istocie człowieczeństwa decydują
czołowe płyty

Zdają się być najważniejsze
dyrygują emocjami
mają wpływ na mimikę
zajmują się lękiem
Uszkodzone są władne
unicestwić uczucie miłości
zabijają dar współczucia
Do głosu dochodzą popędy
Liczy się „natychmiast”
W zwierciadle duszy rysa
zmienia kolorysty dnia

Tatrzańska rozmowa z Ojcem

Idę po piargach
ocienia mnie Mnich
dogląda Szpiglasowy Wierch
wspierają we wspinaczce

W plecaku butelka wody
peleryna tabliczka czekolady
mapa

Głowa roz tęskniona
wspomnieniem zmarłego Rodzica

Spowalniają kroki
płuca chęcą pełniejszego oddechu
serce mocniej uderza

Przełęcz już niedaleko
jeszcze kilkadziesiąt kroków
jeszcze jedno spojrzenie
na paradę górskich łbów

Wrota Chałubińskiego
czekają
przygotowały dla mnie klęcznik
z nieobrobionego kamienia
przegnały hałas

Będę mógł w ciszy
paść na kolana
z tatrzańskiego szczytu
mówić do Ojca

Zadanie medyka

Trudno zatrzymać się i spojrzeć w oczy
temu co nieuchronne
łatwiej bez opamiętania przeć naprzód
dla wątpliwego dobra
człowieka umówionego
z respiratorem
na wiele oddechów
na wymuszone wysycenie krwi
na karmienie tkanek
Odłączenie urzędnika
nie jest łatwe
nie przekonuje wizja
rajskiej poświaty
Trzeba wezbrać w sobie moc
przeciąć powróz ziemskiego bytowania
na zawsze uwolnić z oków cierpienia



Mniej Więcej (177)



Foto: Zofia Mikuła

Polski Grek czy grecki Polak?

Pamiętacie Nikosa Chadzinikolau (1935-2009) – spolonizowanego Greka, który stał się polskim poetą? No i oto coraz widoczniej w szranki naszej poezji wkracza jego syn, Ares. Jego dorobek jest już niemały. A ta książka to też niemałej klasy dziełko edytorskie.

Leszek Żuliński

We wstępie do książki Andrzej Walter m.in. tak opisuje Aresa: *Bóg wojny o prawdziwej i pełnej wolności, bóg muzyki, poezji i sztuki, bóg ludzi dobrej woli...*

Tak, Ares to człowiek-orkiestra. Jeśli jeszcze jako tako przetrwało pojęcie renesansowej weny, to Ares jest tego spadkobiercą.

Ten opasły tom otwiera wymowny wiersz pt. *Być poetą* opatrzony sentencją Jaroslava Seiferta, że bycie poetą to rzecz niezwykajna.

A oto ten wiersz: *Być poetą / to kochać i wątpić / w bezwzględne myśli. / Z pieśnią na ustach / łomotać w zakazane bramy. / W mroku szukać nadziei, / co pozwoli wnieść toast / sponiewieranym. // Być poetą / to ponownie sięgnąć po boski ogień, / wykraść heliosowy rydwan / i ścigać się z losem. / Zapadać w horyzont, / by wzejść nowym słońcem. / Nawet w malignie złożyć myśli / w mozaikę słów / i po utratę tchu / wsłuchiwać się w siebie / jak marynarze w głos Syren / przed roztrzaskaniem się o skały.*

Zwróćcie uwagę, że Ares nie goni za nową dykcją ani modnymi piruetami. Te wiersze są krystalicznie jasne i komunikatywne. Rzecz w tym, że Autor preferuje sens swojego pisania, a nie „figurystykę” dykcji. W obecnym zalewie „oryginalności” przesłania Aresa są cennym przekazem.

Prostota wielu wierszy ujmowała mnie. Dla kolejnego przykładu cytuję wiersz pt. *Mieszkańcy bloku*. Oto on: *Naprzeciwko nieobmurowanej piaskownicy / na jednym z*

osiedli / dwoje ludzi w jednym pokoju / odzieleni kocem wiszącym na sznurku. / Kiedyś wyrzucili cały dobytek w kłótni, / aż popękał chodnik pod oknem. / Nie mają znajomych, więc śpią z robakami, / które tak się zagnieżdżyły, / że robotnicy wymieniający rury puuciekali. / Kobieta dzisiaj upadła w rynsztok, / mężczyzna podniósł leżący obok niedopatek / i kulejąc przeszedł na drugą stronę.

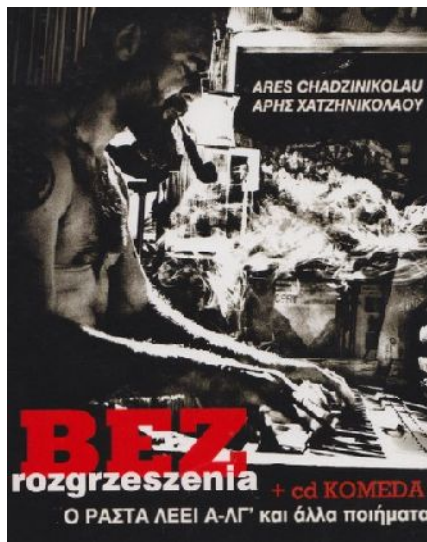
Życie, samo życie! I zwykła codzienność. I wyczulenie na szarą strefę rzeczywistości. Tak, dziś jest coraz mniej takich wierszy.

Z drugiej strony Ares wciąż nosi w sobie powidoki greckiej kulturowości. Już tylko same tytuły tego typu wierszy są wymowne: *Leda i łabędź, Do Safony, Z Ezopa, Aleksandryjski Grek* itp.

Ech, Nikosie, jakie to ważne, że zaszczytę Synowi wasze korzenie. To jest zresztą osobliwa sytuacja dychotomii kulturowej. Poniekąd dar z nieba, bo przecież Ares nie przeżywa (tak sadzę) żadnego rozdarcia. A dwujęzyczność i dwukulturowość to wartość wielkiej wagi.

Znajdziecie w tym tomie także erotyki. No i oczywiście Grecy poniekąd mają swoje własne *theatrum* bukoliczne. Przeczytajcie na przykład wiersz pt. *Leda i Łabędź: Zefir zaplątywał się w różanopalcą jutrzeńkę / jak morze w brzeg horyzontu. / Oniros mgłą ramion oddalał Tyndareusa. // Leda nieśmiało cofnęła się / przed zachłannością pieszczot. / Zeus wzdychał i szeptał za uchem: / przecież bogom się nie odmawia. / Piórami obłaskawił jej ciało / i przywarł do łona / bijąc skrzydłami jak szczęśliwy wiatr, / aż po poczęciu Heleny. // Leda zasnęła rozkołysana baldachimem nocy.*

Piękny wiersz! Ale cała ta książka nie sprowadza się wyłącznie do wierszy. Znajdujemy tu także cykl aforyzmów, sporo wypowiedzi o Aresie wielu autorów, no i cymesem tej książki jest obszerny wywiad z Autorem przeprowadzony przez Dorotę Gut... Ta rozmowa jest bardzo ciekawa i ważna. Ares imponuje rozległą wiedzą i znajomością wielu spraw – człowiek-orkiestra jak to się u nas mówi. No i mamy tu sporo ciekawych zdjęć.



Natomiast ostatnia część książki to też niemały zbiór wierszy Aresa, ale w języku

greckim. I na dodatek do książki załączony jest CD-rom ze wspaniałą muzyką Komedy-Trzcińskiego, którego widocznie – i słusznie! – Ares wysoko ceni. Jednym słowem jest to „książka hybrydowa”. Ale ja mam pewność, że to nie koniec książek naszego Aresa, który tak naprawdę nazywa się Aphe XatzhnikoΛaoy.

Ares Chadzinikolau, *Bez rozgrzeszenia*. Wydanie autorskie (+ISBN), Poznań 2019, s. 170.

Ares Chadzinikolau

Leda i Łabędź

Zefir zaplątywał się w różanopalcą jutrzeńkę jak morze w brzeg horyzontu. Oniros mgłą ramion oddalał Tyndareusa.

Leda nieśmiało cofnęła się przed zachłannością pieszczot. Zeus wzdychał i szeptał za uchem: przecież bogom się nie odmawia. Piórami obłaskawił jej ciało I przywarł do łona bijąc skrzydłami jak szczęśliwy wiatr, aż po poczęciu Heleny.

Leda zasnęła rozkołysana baldachimem nocy.

Krawiec

Znałem krawca, który w piwnicy odmierzał życie. Smutek wieształ na manekinie, spowiadał mu się w zimne noce, ubierał ślubnie i tańczył z nim. Bał się śmierci i dlatego nie przyjmował pogrzebowych zleceń.

Mówił, że jest weselnym krawcem. Któregoś dnia zmarła mu matka. Zaryglował drzwi I zmarł z głodu.

Nikt go nie pamięta.

Agłaija

Widziałem ją nad brzegiem morza z kwiatem oleandru wpiętym we włosy. Czekała na powrót marynarzy. Wiatr podjudzał i gęsił jej skórę. Uśmiechała się do ptaków błogosławiących przestrzeń. Pochylała się nad wodą, unosząc ją w dłoniach. Pewnego dnia, zawiedziona Wskoczyła do morza.

Morze ustroiło się oleandrem.

Czesław Kuśmierek

(1958-2010)

Apogeum

najspokojniejszy jej sen
to w czasie odmawiania
różańca

najszczęśliwsza chwila
to Wigilia
choćby z kotem
przy świątecznym stole

najtkliwsze jej słowa
wypowiedziane
do bydła i wiatru na polu

najsroźszą jej skargą
jest szlochanie po nocy

najskrytym marzeniem
pogrzeb w kwiecie września

największa nadzieja to ja

W symbiozie

w ziemię wrosła
i jak ta grusza za domem
chyli się ku niej
jakby zaraz miała się zwalić

może to pokłon dla ziemi

ręce ma przez nią sturbowane
i twarz do niej podobną
boi się nawet iść do kościoła
żeby nie zerwać
tej więzi ostatniej

takie tu zapuściła korzenie

mówię – jedźmy do miasta
ciepła ci trzeba
i wygod na starość –
to tylko wzrusza
ramionami zapamiętałe

musi bardziej ją kochać ode mnie

Ciężkiego żywota

sama sobie ciężkiego żywota
zapowiada kres

tym gorliwiej spełnia
posłannictwo Samarytanki
sąsiadom każdego tygodnia
składa ostatnie
pojednawcze wizyty

po raz któryś
czepiec i drogą suknię

na śmierć przysposabia
w których potem pójdzie
na wesele

jak dożyje lata
znów popielgrzymuje
pięć sławetnych dni
do Częstochowskiej Maryi
prosić o przetrwanie
na jeszcze kilka niedziel

Żniwowanie

biorę wielki zamach kosą
odbierając pokłony
jędrnych wiernych kłosów
żaby w trwożnych
piruetach śmierci
robią spoczynek na blacie

a ja ciągle się boję
by nie zaciął
chłopskiej duszy
która drzemie
wniebowzięta
w złotym łanie
żyta

Księżyc stróż

gdy sąsiad bił pijaną żonę
akurat
księżyc przechodząc nad
ich podwórkiem
zajrzał przypadkiem
przez wybite okno

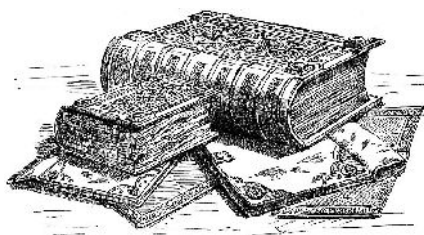
i było mu łyso
że wtrąca się
w nie swoje sprawy

Takie pożegnanie

jeszcze słyhać echo
skarg niewymówionych
gdy cierpliwie ze smutkiem
wyprawia mnie w drogę
i woli nie pytać
dokąd jadę

ale czemu mnie żegna
wychodząc do furtki
z takim nabożeństwem
i trwogą na ustach
jak ojca
w trzydziestym dziewiątym

wie przecież że wrócę



Ludwik Filip Czech

Chwila

Czasami znowu chciałbym
Podskoczyć
Zerwać z gałęzi jabłko
Pobiec przez las nad jezioro
Żeby z brzegu płuć
Pestkami

Potem z drewnianego pomostu
Patrząc na chmury
Na łódzie płynące do przystani
Mknący po moście
Autobus

Jeszcze raz być tamty
Nastoletnim wybrańcem
Zanurzonym po odstające uszy
W niemającym końca
Życiu

Strachy

Czasami śnię podmiejskie slumsy
Z których nie mogę uciec
Ciemne zaułki Drewniane schody
Mroczne podwórka

Komórki pokryte papą dachy gołębi
puchem

Okna z łuszczącą się farbą
Z widokiem na rynnę

Nie umiem wyjść z tego labiryntu
Ruin
Beczek wanien szamb
Pełnych deszczówki

Wokoło żywego ducha
Tylko nad głową
Zamiast nieba
Sznur stęchłej bielizny

Spokój

Dopadł mnie dzisiaj spokój ducha
Jakby mój duch wrócił właśnie
Z długiego urlopu
Albo zmienił pigułki
I lekarza

Chociaż dopadł to złe słowo
Raczej objął przytulili
Bo nagle spadł ze mnie ciężar
Jak miąsz z pestki

Jadę więc teraz kolejką miejską
Z Wrzeszcza do Oliwy
Skasowawszy bilet
Z lekkim jak piórk
Sednem

Joachim Neander

Półkownik

w sklepie spożywczym
widziałem butelkę
z napisem
OCET WINNY

pomyślałem sobie
czego ten ocet
mógłby być winnym
o jakie przestępstwo
mógłby być oskarżony

może
nie wykonał normy
Planu Sześcioletniego

może
był wrogo nastawiony
do socjalizmu pokoju
przyjaźni polsko-radzieckiej

próżno szukałem w Google'u
i w archiwach IPN-u
wygląda na to że
miał tajny proces i wyrok
nigdy nie był opublikowany

czy już nie czas
na rehabilitację
gdzie są prawo
i sprawiedliwość

czy biedny ocet musi stać na zawsze na
najniższej półce w sklepie spożywczym
zamiast zajmować miejsce honorowe
w Muzeum PRL-u?

Rudolf Hoess zastanawia się w piekle nad Polakami

w gruncie rzeczy
jestem zadowolony
z Polaków dobrze
dokończyli moją pracę

zostawiłem im na przykład
ćwierć miliona starozakonnnych
dwadzieścia pięć lat później
mieli kraj prawie bez Żydów

przejęli też mój pomysł
na numerowanie ludzkiego materiału
nie są potrzebne imię i nazwisko
sam PESEL identyfikuje Polaka

już nie brakuje środków
na remont i modernizację
projektu mojego życia

Konzentrationslager Auschwitz
zmieniono w atrakcję
turystyczną na miarę światową

zwiedzaną częściej niż Piramidy
albo wodospady Niagary

naprawdę mogę być dumny
z tego co osiągnąłem

i nawet wybaczyć Polakom
że mnie powiesili

Autodafé

W maju 1933 r. hitlerowcy spalili książki Ericha Kastnera, znanego autora utworów dla dzieci i młodzieży. W końcu lipca 2015 r. Zieloni wyrzucili je na makulaturę, bo „wydźwięk i słownictwo są już niezgodne z duchem czasu”.

oniż narodowi socjaliści
czyścili biblioteki publiczne
z jego książek
ich bohaterowie
nie nadawali się
na wzór dla Hitlerjugend

dzisiaj te same książki
z półek bibliotecznych
pójdą na makulaturę
bo nie nadają się
do wychowania młodzieży
w duchu gender
i politpoprawności

hitlerowcy nieekologicznie
spalili książki na stosie
emitując ce o dwa
do atmosfery

dzisiejsi Zieloni
naprawiacze świata
dbają o środowisko
i klimat

przerabiają
niepożądane książki
na perfumowany
papier toaletowy

i pokazują
gdzie mają autora

dosłownie

E-mail studentki pierwszego roku

mamusi jak cudownie
jest tutaj w college'u

nie tylko że codziennie
gdzieś na campusie
jest impreza
od wieczora do rana

żyjemy też w *safe space*
bezpiecznej przestrzeni

profesorom nie wolno
poruszać spornych kwestii
i nie musimy czytać książek
które mogą ranić naszą psychikę

nie rozmawiamy z ludźmi
o innych poglądach
lepiej zachować dystans
aby uniknąć
niejasnych słów lub gestów

komplementy za piękny wygląd
lub dobrą znajomość angielskiego
uchodzą za mikro-agresje
noszenie sombrero przez białego
za przywłaszczenie kulturowe

pytasz jak idą
studia
nie przejmuj się
mamusi

mamy system bonusów
dla dyskryminowanych mniejszości
dobrze wiesz że dostałam się
do college'u mimo marnych stopni
przecież mam czarnoskórego ojca

powiększyłam swoje szanse
wstępując razem z chłopakiem
do Zrzeszenia Lesbijek i Gejów

bądź pewna
mamusi
nie będą mieć odwagi
oblać nas na egzaminach

Nie będzie tablic

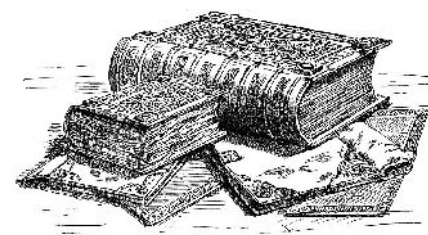
dla naszego pokolenia
nie będzie tablic pamiątkowych
na elewacjach kamienic
W tym domu urodził się...
W tym domu umarł...

już nie rodzimy się
ani umieramy
w gronie rodziny
i przyjaciół

nasz pobyt na świecie
zaczynamy i kończymy
w gronie lekarzy
i pielęgniarzek

szklane elewacje
nowoczesnych szpitali
nie nadają się
do montowania
marmurowych tablic

i już tylko
na scenie operowej
Mimi i Violetta umierają
na mansardzie
w ramionach kochanka



Miroslaw Mrozek

Bohater charakterystyczny

Dziwnym trafem w swoich poszukiwaniach czytelniczych natrafiam ostatnio na powieści dość osobliwe, ich bohaterami są albo różnego autoramentu wariaci, których zgubiły książki, albo kretyni, którzy przemieniają się w geniuszy, by później skretynieć ostatecznie, albo nawet kosmici, którzy upodobali sobie w swoich osiedleńczych praktykach wcale nie amerykańskie Roswell, ale Śląsk, który czasami należy do Niemiec a czasami do Polski.

I tak w trakcie ostatnich tygodni przeczytałem *Przemysłnego Szlachcica Don Kichota z Manczy* we wspaniałym tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa, *Auto da fé* Eliasa Canettiego, *Kwiaty dla Algernona* Daniela Kesyeya oraz *Utopka* Leszka Libery.

Pisarze to jednak podli ludzie. Bierze sobie taki sadysta bogu ducha winnego hiszpańskiego szlachcica, który zamieszkuje na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku okolice Manczy. Każde ten bydlak temu niebogatemu przeciw szlachcicowi kupować drogie i głupie książki, jakimi są romanse rycerskie, każde mu je czytać dniem i nocą, dobrze wiedząc przy tym, że czytanie (a czytanie romansów rycerskich szczególnie) wysusza rozum. Czeka ten niegodziwiec, aż kompletnie wyschły mózg naszego biednego szlachcica uzna, że stanowi część organizmu błędnego rycerza. Następnie ten intrygant wysła naszego błędnego rycerza na poszukiwania przygód, w trakcie których to poszukiwań, czekają go upał, pragnienie, głód, bezsenność oraz niezliczone rany, guzy i rany zadane przez wrogów nasłanych przez potężnych czarnoksiężników. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby okazało się, że pod postaciami tych czarnoksiężników ukrywa się ten bezwstydnik.

Możemy próbować usprawiedliwiać tego zwyrodnialca, zakładać, że znęcał się nad naszym biednym błędnym rycerzem po to by uczynić z niego postać groteskową i wyobcowaną, dzięki której możemy spojrzeć na otaczający ją świat ze szczególnej perspektywy. Na nic jednak wszelkie próby takiego usprawiedliwiania. Zapoznanie się z narzędziami kata tym bardziej uzmysławia nam, że za ich pomocą dokonywane były tortury na niewinnej ofierze.

Po obejrzeniu *Człowieka który zabił Don Kichota* w reżyserii Terrego Gilliana dochodzę do wniosku, że filmowcy to też niezłe gnoje. W tym obrazie naszego biednego Rycerza z Manczy potraktowano bardziej niegodziwie niż zrobił to Cervantes. Oczywiście możemy próbować usprawiedliwiać Gilliana, dowodząc, że tak jak powieści Cervantesa była opowieścią o pisaniu powieści, tak film jest filmem o kręceniu filmu. Że dzięki niedolom błędnego rycerza na planie filmowym możemy przejść o poziom wyżej w stosunku do dzieła Cervantesa i dane jest nam obserwować interakcje, jakie zachodzą

między rzeczywistością, literaturą i filmem (kinematografią). Na nic jednak wszelkie usprawiedliwianie, niegodziwość pozostaje niegodziwością. Zwłaszcza, że film nie jest dziełem najbardziej udanym i z pewnym znużeniem śledziłem ponad dwugodzinne zmagania młodego reżysera, usiłującego zekranizować powieść Cervantesa. Nie był to jednak czas do końca stracony, na zawsze w pamięci pozostanie mi widok jednej z - przecinających Manczę - dróg otoczonej szpalerem wiatraków produkujących prąd.

Kiedy przebolełam krzywdy wyrządzone przez tego psychopata (Cervantesa) biednemu rycerzowi z Manczy, w moje ręce wpadła powieść *Auto da fé*, laureata Literackiej Nagrody Nobla, Eliasa Canettiego. Pisząc tę powieść Canetti trafnie przypuszczał, że psychoza jest swoistym przerysowaniem (do karykaturalnych wręcz rozmiarów) pewnych cech charakteru. Swoją drogą, literatura, jako taka, prawie zawsze przerysowuje świat, uwypukla jego niektóre (wybrane w danym dziele literackim) elementy, inne z kolei zupełnie pomija – kiedy świat jest wiernie przedstawiony, nie mamy wtedy zwykle do czynienia z dziełem literackim.

Canetti przez całą powieść wykorzystuje przewrotnie jedną z cech ludzkiej świadomości, mianowicie to, że nie jesteśmy w stanie z zupełną pewnością stwierdzić, co druga osoba myśli o nas i o świecie w ogóle. Często rzutujemy więc własne poglądy na drugą osobę. To nierzadko prowadzi do nieporozumień w realnym świecie, a w świecie powieści Canettiego tworzy tragikomiczny układ, w którym każda jednostka jest odrębnym bytem, który właściwie nie komunikuje się z innymi osobami, a jeśli już to po to, żeby coś ukryć albo wprowadzić te osoby w błąd. Tworzy to istic psychotyczny obraz świata, w którym nikomu nie można zaufać.

Główny bohater powieści, profesor Kien jest postacią bardzo nietuzinkową, wystarczy powiedzieć, że żeni się ze swoją, ogólnie mówiąc, nie najładniejszą i niezbyt inteligentną gospożą z miłości... do książek. Właściwie wszystko, co robi, robi z miłości do książek. Przychodzi tutaj znowu na myśl postać innego słynnego szaleńca, który zamieszkiwał okolice Manczy, jednak w odróżnieniu od niego nasz Profesor nie chce wciąć w życie historii zawartych w książkach (beletrystykę uważa zresztą za rzecz podrzędną), on traktuje książki jako istoty żywe. Tak w prostackim skrócie można by scharakteryzować rodzaj obłądu, który dotyka Profesora.

Ciekawe jest, że na początku powieści darzymy profesora dużą sympatią, później ona słabnie, a przecież nieustannie jesteśmy świadkami krzywd wyrządzanych mu przez ludzi. Jest tak chyba dlatego, że powoli uświadamiamy sobie, że Kien w pewien sposób zasłużył na swój los. Książki traktuje

jak ludzi, natomiast ludzi traktuje jak przedmioty. Jedyne uczucie, jakie się u niego pojawia względem drugiego człowieka, to nienawiść do swojej żony, która w miarę upływu czasu przeradza się we wstręt do wszystkich kobiet chodzących ulicami miasta, które zamieszkuje, a którym prawdopodobnie jest Wiedeń.

Książka to majstersztyk językowy, Canetti sprawia, że czytelnik taki jak ja, który ma za sobą dwie psychozy, sam jest (podobnie jak bohater powieści) mołem książkowym, samotnikiem i literatem z psychodeliczną przyjemnością śledzi perypetie najwybitniejszego na świecie sinologa, jego żony, dozorczy kamienicy, chciwego króla oraz dyrektora szpitala dla wariatów.

Moje IQ przekracza 130, natomiast jeśli idzie o inteligencję emocjonalną jestem kretynem z rodzaju tych najbardziej opóźnionych. Z najnowszych badań wynika, że na nasz sukces w życiu większy wpływ ma inteligencja emocjonalna niżeli iloraz inteligencji. Oczywiście w najlepszej sytuacji znajduje się jednostka, która charakteryzuje się zarówno wysokim ilorazem inteligencji, jak i wysoką inteligencją emocjonalną – ale czy na pewno? Mówię o tym ponieważ niedawno skończyłem lekturę *Kwiatów dla Algernona* Daniela Kesyeya. W tej książce autor próbuje odpowiedzieć na powyższe pytanie.

Głównym bohaterem powieści Kesyeya jest Charlie Gordon, kretyn, którego IQ wynosi 68 punktów. Charlie ma trzydzieści dwa lata i od siedemnastu lat pracuje w piekarni. Jest przekonany o tym, że jest lubiany przez otaczających go ludzi, a jego największym marzeniem jest stać się mądrzejszym. Charlie podejmuje zresztą wysiłki w tym kierunku – w szkole dla opóźnionych umysłowo uczy się czytać i pisać, jego nauczycielką jest panna Kinnian. Ogólnie można powiedzieć, że Charlie jest w swoim życiu dosyć szczęśliwą osobą. Oczywiście jest to szczęście specyficzne, które staje się udziałem ludzi, którzy prawie nic nie wiedzą o otaczającym ich świecie oraz ludzkiej naturze.

Panna Kinnian jest pod wrażeniem tego, że Charlie pomimo tak niskiego IQ jest bardzo czysty, porządnym, pracowity i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Należy ona do zespołu, który prowadzi badania nad metodą chirurgicznego zwiększania możliwości mózgu – zwiększania inteligencji. Badania jak dotąd prowadzone były tylko na myszach, ostatnią z tych myszy jest tytułowy Algernon. Teraz przyszła pora na ludzi. Charlie z uwagi na swoją osobowość oraz bardzo niskie IQ, dzięki czemu łatwiej będzie mierzyć jego wzrost, zostaje wybrany do eksperymentu. Wyraża zgodę, chociaż nie potrafi w pełni pojąć konsekwencji, jakie wiąże się z operacją.

Narratorem powieści jest sam Charlie, który pisze swoje raporty mające dokumen-

tować przebieg eksperymentu i zmiany jakie zachodzą w jego umyśle. Początkowe rozdziały przypominają opowieść kilkuletniego dziecka, które ma spore trudności z ortografią i interpunkcją, a jego słownictwo jest bardzo ubogie. Z opowieści wyłania się jednak postać sympatycznego człowieka, który mimo swoich ograniczeń stara się żyć najlepiej, jak potrafi. Po operacji obserwujemy gwałtowną zmianę, jaka zachodzi w sposobie pisania Charliego, ortografia i interpunkcja staje się poprawna, język staje się coraz bogatszy, a same raporty przypominają wysokiej klasy literaturę – było to dla mnie szczególnie interesujący aspekt książki, którą czytałem w oryginale, w języku angielskim.

Charlie z dnia na dzień staje się coraz inteligentniejszy, wreszcie prześciga profesorów, którzy prowadzą eksperyment i zostawia ich daleko w tyle. Nie jest jednak wcale szczęśliwszy. Pojmuje, że ludzie który traktował jako przyjaciół, często wyśmiewali się z niego, a teraz, gdy stał się inteligentny, traktują go wrogo. Charlie zakochuje się z wzajemnością w Alice Kinnian, ale jest od niej o wiele inteligentniejszy i nie potrafią razem rozmawiać. Poza tym ma blokadę seksualną, której źródło tkwi w dzieciństwie. Charlie dzięki psychoanalizie i innym metodom przypomina sobie, że jego matka wstydziała się dziecka kretyna oraz karała go za wszelkie przejawy seksualności, wreszcie wydalila go z domu.

Punktem przełomowym powieści jest moment kiedy Charlie uzyskuje maksimum swoich możliwości umysłowych. Potrafi czytać w kilkudziesięciu językach, zarówno współczesnych, jak i martwych. Wkrótce jego wiedza staje się tak wielka, że nie znajduje już równych sobie rozmówców nawet wśród największych naukowców. Potem odkrywa, że w założeniach metody operacyjnego zwiększania możliwości mózgu tkwił błąd. Progres inteligencji, którego doświadczał Charlie, będzie postępował tylko do pewnego punktu, później nastąpi równie szybki się regres, który nie zatrzyma się jednak w punkcie wyjściowym, ale doprowadzi do całkowitej degradacji mózgu i śmierci.

Nim to nastąpi, Charlie zrozumie kim był, spotka się z rodzicami i siostrą, zazna smaku miłości i rozstania, będzie świadkiem cierpienia i śmierci swojego zwierzęcego przyjaciela Algernona. Będzie czuł strach. Powoli jego umysł stawał się będzie coraz mniej lotny, coraz mniej sprawny, coraz mniej będzie w nim wspomnień. Charlie będzie tego świadom, aż do pewnego punktu, w którym stanie się znowu uśmiechniętym, życzliwym Charliem kretynem. Taki jest w swoim ostatnim raporcie. Później zaczyna się mgła, która mrocznieje w ciemność niewiedzy.

W języku angielskim na określenie cudzoziemca, przybysza, człowieka obcego, człowieka odmiennego, wyobcowanego, kosmity używa się słowa „alien”. Przez całe życie czułem się właśnie jak *alien*, jak człowiek nie z tej planety. Dopiero niedawno odnalazłem swoje miejsce. Jestem sobą i na swoim miejscu, kiedy siedzę we własnym fotelu i nadrabiam zaległości czytelnicze, jeszcze bardziej sobą jestem, kiedy siedzę

przed laptopem i piszę te właśnie słowa. Wszędzie indziej jestem nie na swoim miejscu, nie czuję się przy tym, jak odkrywca nowych światów, ale jak wygnaniec, banita, parias.

Kosmita z powieści *Utopek* Leszka Libery nie jest podobny do mnie. Pochodzi wprawdzie z innego świata, ale na Ziemi czuje się jak u siebie w domu. Nic dziwnego, tworzy przeciwieście historii. Okazuje się bowiem, że najpierw na planecie Utopii żył Prautopek, który powołał do życia Utopka, który stworzył Boga, a ten opowiedział świat, w skład którego wchodzi Ziemia i zamieszkujący ją ludzie. Utopkowi spodobało się, że ludzie cały czas zabawiają się pulokami (penisami) i dzięki temu się rozmnażają. Utopek przeniósł się więc na Ziemię, a konkretnie na Śląsk. Młodocianym utopkom puloki służą do opowiadania historii (we wszystkie te historie ludzie wierzą), dorosłe utopki przystają opowiadać historie i używają puloków do płodzenia utopków. Matką utopka może być ludzka samica albo krowa.

Utopkiem, który opowiada historię w książce Libery, jest Buks Molenda. Podobnie, jak inne utopki, odżywia się tylko płynami, a konkretnie mlekiem krowim albo kobiecym oraz miodem pitnym i samogonem z ziemniaków. Jego schronieniem, w którym zabawia się pulokiem, a więc snuje historię, jest beczka po kiszzonej kapuście. Moralność jest dość specyficzna, ale nieskomplikowana, dobre jest to, co jest wilgotne, dobre jest to co służy pulokowi, złe są natomiast rzeczy suche, gołębie (a zwłaszcza gołębie gówno) oraz podła matka i nauczyciel, którzy nie szczędzą mu razów korbacza. Rzeczy takie, jak okrucieństwo, niesprawiedliwość i głupota ludzka leżą poza kodeksem moralnym Buksa i wydają mu się czymś całkowicie normalnym, co należy po prostu do historii i nad czym nie ma co się zastanawiać.

Lektura *Utopka* uświadomiła mi, że fakt przynależności do społeczności, utożsamienie się z nią, sprawia, że stajemy się wobec niej bezkrytyczni. W tych warunkach nawet rzeczy skrajnie wynaturzone gotowi jesteśmy uznać za naturalne i oczywiste. Dopiero ktoś z zewnątrz jest w stanie dostrzec niezwykłość zastanej sytuacji. Cały majstersztyk Libery polega na tym, że narrator utopiek Buks opowiada historię dla siebie oczywiście, sam jednak jako główny bohater powieści jest dla czytelnika nieoczywisty, przez co opowieść też wydaje się nieoczywista. Gdyby opowieść opowiadana była z pozycji zwykłego ludzkiego narratora, poznalibyśmy wprawdzie te same fakty (poza całym wątkiem utopkowym), ale ich odbiór byłby skrajnie odmienny.

Bohaterowie, których wyżej przedstawiłem, są jedyni w swoim rodzaju, jednocześnie są bohaterami charakterystycznymi. Don Kichot i Profesor Kien to szaleńcy, których charakteryzuje niezwykłość, nietypowość urojeń, im bardziej niezwykłe są ich urojenia, im bardziej sami są niezwykli, tym bardziej są charakterystyczni (prezentują sobą powszechnie przyjęte – co nie znaczy, że zgodne z prawdą - wyobrażenia obłądu).

Zupełnie inaczej jest z Charliem Gordonem. Charlie jest postacią charakterystyczną w dwóch momentach powieści, jako całkowity kretynem i jako całkowity geniusz. Natomiast stany pośrednie - przemiana z kretyna w geniusza oraz odwrócenie tego procesu (pomijając zmiany w IQ) opisana jest, jako swoiste dojrzewanie emocjonalne, a później cofanie się w emocjonalnym rozwoju. Sama ta przemiana jest osobliwością, za sprawą której postać Charliego Gordona wymyka się prostej klasyfikacji.

Utopek jest postacią charakterystyczną ponieważ jest dla nas obcy i niezrozumiały (w taki sposób wyobrażamy sobie przeciwieście kosmitę). Z tym, że ta obcość nie wynika z całkowicie odmiennych do ludzkiej anatomii, fizjologii czy intelektu, ale z tego w jaki sposób utopiek Buks interpretuje rzeczywistość. Przy czym niektóre z motywów kierujących jego działaniem są całkowicie ludzkiej natury (głód, potrzeba bezpieczeństwa) inne właściwie są kosmitom, pisarzem i innym potworom (przymus kompulsywnego opowiadania historii).

Cztery lata temu byłem nominowany do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za mój debiutancki tom *Horyzont zdarzeń*. Sukces był niemały, pojawiły się entuzjastyczne reakcje zarówno czytelników, jak i krytyków literackich. Pisano o wielkim talencie, wybitnej wrażliwości. Pisano, że po raz pierwszy od dawna ktoś zrealizował zakrojony na tak szeroką skalę uniwersalny, humanistyczny projekt poetycki. Ponieważ odmówiłem przyjazdu do Krakowa na spotkania z publicznością i innymi nominowanymi, postanowiono wysłać do mnie ekipę telewizyjną. Byli to dziennikarze TVN, chyba realizujący na co dzień materiały dla programu *Xsięgarńia*.

Spodziewali się pewnie ujrzeć siwobrodego mędrca czytającego w oryginale Platona i Arystotelesa. Tymczasem zobaczyli tłustego wieśniaka o tępym obliczu, wyraźnie onieśmielonego wizytą i niepotrafiącego odnaleźć się w sytuacji. W trakcie rozmowy przekonali się, że może moje myśli są oryginalne i celne, ale mam jakąś wadę wymowy i wschodni akcent. Dowiedzieli się, że ukończyłem ledwie ekonomię i to w trybie zaocznym, że przez większość życia pracowałem fizycznie, że choruję na schizofrenię.

Trudno kogoś takiego przedstawić jako mędrca. Postanowili zrobić ze mnie inny rodzaj bohatera charakterystycznego. Na podstawie dwugodzinnego wywiadu powstał kilkuminutowy filmik, zaczynający się pianem koguta, w trakcie którego, jak ten głupi Jaś, chodzę wzdłuż rządków z tykami, na których pnie się fasola jaś i opowiadam dyrdymały. Trudno ich przy tym obwiniać, sam się podłożyłem, sam się na wszystko zgodziłem. Ten filmik wisi na You Tubie, na stronie Nagrody im. Szymborskiej i cholera wie gdzie jeszcze, zgodnie z prawem internetu, że co raz trafiło do sieci, nigdy już jej nie opuści. Dziś każdy może osiągnąć ten żalony rodzaj życia wiecznego, niewielu może zdecydować o estetyce utrwalenia, nikt zgoła, jakiego rodzaju bohaterem w efekcie się stanie.

Dariusz Pawlicki

O książkach i ich (nie) czytaniu

„Nie mam biografii. Mam tylko książki”.

Constantin Noica

W *Promieniowaniach**, dzienniku wojennym, pod datą: 22 października 1942, niedługo przed wyjazdem na front wschodni, Ernst Jünger dokonał takiego oto wpisu:

Będzie mi brakowało świata książek; spędziłem w nim wspaniałe godziny, to oazy w świecie zniszczenia.

Kilka miesięcy później, po powrocie do Paryża, pod datą: 20 marca 1943 r., na temat kolejnej wizyty u paryskich bukinistów, napisał:

*Jest to dla mnie zawsze godzina nadzwyczajnego zadowolenia, oaza pośród czasu. Nabyłem tam *Le procès du Sr. Edouard Coleman, gentilhomme, pour avoir conspiré la mort du Roy de la Grande Bretagne*.*

Znamiennie, jednocześnie wyrażające stosunek autora do książek, jest porównanie ich, i kontaktu z nimi, do oazy. Za pierwszym razem do – „oazy w świecie zniszczenia”, za drugim – do „oazy pośród czasu”. Tym bardziej znamiennie, że poczynione podczas toczącej się wojny, wojny jakiejś świat jeszcze nie widział.

O pozytywach kryjących się w książkach, w pochodzącym z 1930 r. eseju *Magia książek*, Hermann Hesse tak oto napisał:

Wiem, że gdy pogrązę się w lekturze pięknej książki, to czynię wówczas coś lepszego, mądrzejszego, bardziej wartościowego, niż czynili wszyscy ministrowie i królowie tego świata od lat. Buduję tam, gdzie oni burzą, zbieram, gdzie rozpraszają, żyję z Bogiem tam, gdzie oni go negują czy krzyżują.

Hermann Hesse, jeśli chodzi o przyszłość książki drukowanej, był optymistą (najpewniej był nim również Ernst Jünger). Ale być nim w 1930 r. z całą pewnością było łatwiej niż obecnie. O zainteresowanie w czasie przeznaczonym na rozrywkę rywalizują bowiem z książką liczni konkurenci. I stopniowo ich przybywa. Rezultat jest taki, że coraz mniej ludzi czyta książki; mało tego, coraz więcej ludzi w ogóle nie czyta (co najwyżej krótkie, wręcz bardzo krótkie teksty o treści informacyjnej). Problem nie sprowadza się jednak wyłącznie do nieczytania. Dotyczy także tego, że obserwowany jest stopniowy zanik różnorodnych zjawisk, w tym obyczajów, jakie towarzyszyły wielu pokoleniom w ich kontaktach z książką drukowaną. A zjawiska te mają także związki z tymi, jeszcze liczniejszymi, generacjami żyjącymi przed epoką zapoczątkowaną przez Gutenbergowski wynalazek.

Informację, że książka symbolizuje, na przykład, uczoność, wiedzę, mądrość, każdy, kto usłyszy ją po raz pierwszy, najpewniej przyjmie do wiadomości bez zdziwienia. Uzna

to może nawet za oczywistość. Ale prawdopodobnie zareaguje inaczej, gdy dowie się, że jest ona także symbolem, między innymi, całości Wszechświata; dociekania prawdy, wiedzy transcendentnej, wiedzy tajemnej; magii, historii, sztuki; prawa, Biblii, Ewangelii, dzieściorga przykazań, zbioru praw; rady, godności, sprawiedliwości, cnót, melancholii, ucieczki od rzeczywistości; wolnego czasu spędzanego w spokoju.

Pośród symbolicznych znaczeń książki najbardziej interesuje mnie, ze względu na tematykę niniejszego eseju, z jednej strony, mądrość i wiedza, a z drugiej, ucieczka od rzeczywistości i wolny czas spędzany w spokoju. Stanowią one, według mnie, kwintesencję „książkowości”, czyli duchowości jaka zawarta jest w specyficznym przedmiocie jakim jest książka. Na jego postać, czyli formę, składa się zadrukowany papier, jak też oprawa. Z tym, że elementy sprawiające, iż książka jest także czymś bardzo fizycznym, od kilku dziesiątków lat, odgrywają coraz mniejszą rolę (nie zyskuje na tym jednak wcale duchowość). Owa „coraz mniejsza rola” objawia się przede wszystkim w postaci papieru makulaturowego i miękkiej okładki, te elementy są jedynie niezbędnymi dodatkami (gdyby ich nie było, nie można by mówić o książce). A wszystko po to, aby książka była jak najtańsza. To zaś skutkuje tym, że żywot książki współczesnej jest krótki, bardzo często ledwie kilkudziesięcioletni. A jeśli powstaniu jakiegś pozycji towarzyszą obecnie dodatkowe zabiegi sprawiające, że od strony edytorskiej wyrasta ona ponad przeciętność, używa się wobec niej określenia: sztuka książki. W czasach nie tak znowu odległych, terminu tego nie używano, gdyż książka nie była traktowana, jedynie jako produkt. Wystarczyło słowo: książka. Jako Coś szczególnego traktowali ją zarówno wydawcy jak i czytelnicy.



Jean-Honoré Fragonard,
Dziewczyna czytająca książkę, 1776

Ći pierwsi starali się zachować odpowiedni poziom edytorski. To dlatego Ernst Jünger,

esteta w mundurze Wehrmachtu, we wspomnianych *Promieniowaniach*, odnośnie powyższego tematu, zanotował, że będąc na herbacie u pewnej paryżanki, oglądał „rękopisy, dedykacje i piękne oprawy. Po części były one wykonane z groszkowanej skóry, której dotyk podwaja przyjemność czytania (...)”. A kilka miesięcy później, opisując zakupione u paryskiego antykwariusza książki, wspominał, że *Podróż hiszpańska* Algernona Charlesa Swinburne'a była oprawiona w czerwony marokini.**

Dla ludzi ówczesnych, zawartość książki, czyli jej strona intelektualna, była oczywiście bardzo ważna. Ale równocześnie łączyła się z nią wspomniana estetyka w postaci oprawy, papieru, ilustracji, kroju liter. Miała więc wpływ na ogólną ocenę książki. Powodowała, że traktowano ją często jako dzieło sztuki. I to dzieło mające służyć pokoleniom; zarówno ze względu na solidność wykonania, jak i ponadczasową treść. Dziś, choćby ze względu na krótkotrwałość literackich mód i mało istotną treść większości bestsellerów (sygnalizuje to niska jakość współczesnych książek) długi żywot książki nie jest w ogóle brany pod uwagę. Najbardziej pożądane przez wydawcę jest wyrzucenie książki przez czytelnika po pierwszym przeczytaniu. A to po to, aby nabył następną. Tyle bowiem, ich zdaniem, ale i zdaniem wielu czytelników, warta jest zawartość większości drukowanych obecnie książek.

Tymczasem żyjący na przełomie XVIII i XIX w. William Hazlitt, na temat ponadczasowych treści zawartych w książkach (oczywiście nie we wszystkich), w eseju *O czytaniu nowych książek*, poczynił dwie następujące uwagi:

Nie mogę pojąć namiętności, z jaką większość ludzi czyta nowe książki. Gdyby ludzkość przeczytała to wszystko, co się już uprzednio ukazało, mógłbym zrozumieć brak ochoty do powtórnego czytania tego samego.

Książka nieprzeczytana jest dla mnie pod każdym względem książką nową, niezależnie od tego, czy wydrukowana została wczoraj, czy też przed trzystu laty.

Zaś w *Pożegnaniu eseju*, napisanym dwa lata przed śmiercią, zawarł taką oto myśl:

Jedzenie, ciepło, sen i książka – oto wszystko, co mi obecnie jest potrzebne – ultima thule moich błędzących pragnień (ultima thule – po łac. ostatnia granica).

Z książką wiąże się ciepło i światło. Lektura dostarcza bowiem ciepła i światła, które można nazwać wewnętrznymi. Natomiast źródłem ciepła dosłownego, rzeczywistego, bardzo wskazanego przy lekturze w chłodne dni, jest kaloryfer, rzadziej ogień płonący na kominku bądź z żeliwnymi drzwiczkami pieca (spalaniu drewn, także węgla mogą towa-

rzyszyć trzaski, syki). Zaś oświetlenia niezbędnego do tego, żeby widzieć litery dostarcza żarówka zaopatrzona w klosz, w razie problemów z elektrycznością – świeczka, lampa naftowa. Zimą przybywa powodów, aby czas spędzać z książką. Nie bez przyczyny poeta angielski John Betjeman, zarabiający na życie jako krytyk literacki, tak napisał na ten temat:

Zima to pora, gdy czuję, że mogę pograć się w lekturze tego, co lubię, zamiast tego, co powinienem przeczytać.

Źródła ciepła wypełniającego pomieszczenia, w których odbywa się kontakt z książką, są obecnie zdecydowanie inne niż w epokach minionych. Lecz wspomnienia związane z tymi dawnymi, wciąż są żywe, powracają do nas. I odnoszą się właśnie do czasów sprzed epoki książki drukowanej. Są więc bardzo odległe. Odwołują się do prastarego zwyczaju opowiadania historii o zmroku, gdy paliło się ognisko, albo drwa na kominku. Snucie opowieści nabierało szczególnej intensywności właśnie zimą. Przerwa w pracach rolnych, a co za tym idzie, zdecydowanie więcej wolnego czasu i potrzeba jego zagospodarowania, sprzyjały takiej formie spędzania wieczorów. W epoce otwartego ognia, słuchaniu opowieści towarzyszyły intrygujące cienie rzucane na ściany przez drgające, ruchliwe języki ognia. Stanowiły one rodzaj żywej scenografii. Zaś rozmaite dźwięki towarzyszące spalaniu się drewna czy chrustu dostarczały dodatkowych efektów. Dodatkowych, gdyż za te główne była odpowiedzialna osoba opowiadająca. Niejednokrotnie te wizualne i dźwiękowe efekty, stawały się wręcz dopełnieniem opowiadanych historii, szczególnie tych grozy. Pobudzały, i to bardzo skutecznie, wyobraźnię. To, że obecnie snucie opowieści jest czymś niezmiernie rzadkim, przynajmniej na Zachodzie, to wynik ekspansji, chociażby, telewizji.

Mając na uwadze książki, jako takie, możliwe jest nawiązanie swoistego kontaktu z poprzednimi pokoleniami, w tym wypadku czytelnikami. Szczególnie wtedy, gdy ma się do czynienia z książkami wydanymi we wcześniejszych epokach (ze względu na ich trwałość będącą wynikiem solidnego wykonania i użycia odpowiednich materiałów). Przewodzącą rolę w tym kontakcie odgrywa samo czytanie: czytanie słów, zdań, z którymi zaznajamiali się nasi poprzednicy. Ale ważne jest też przekładanie kartek dotykanych przez nich. W niektórych egzemplarzach można natrafić na konkretne, bardzo wymowne ślady świadczące o ich wcześniejszych użytkownikach. Mogą to być ekslibrisy lub nazwiska właściciela/właścicieli, głosy napisane na marginesach bądź pomiędzy wierszami, akapity lub zdania podkreślone albo obwiedzone ołówkiem. Dwa ostatnie rodzaje tych śladów, można nazwać intelektualnymi (dla wielu będą niepożądanymi ingerencjami w tekst). Pozwalają one sformułować, bardzo ogólne, ale jednak, jakieś wnioski na temat poprzednich czytelników, którzy zostali zaintrygowani konkretnymi myślami.

Bohaterka filmu *84 Charing Cross Road*, mieszkająca w Nowym Jorku pisarka (do zamawiania książek w konkretnym antykwariacie londyńskim, składają ją, między innymi, przystępne ceny, bogactwo oferowanych do

sprzedaży tytułów, ich poziom edytorski) w starych książkach lubi i to, że bardzo często otwierają się w konkretnych miejscach. I miło jest jej, gdy stwierdza, że ich poprzedni właściciele szczególnie lubili jakieś fragmenty, które przyciągają i jej uwagę.

Wielu współczesnych zerwało kontakt z książką drukowaną; świadomie bądź nie. W ich przypadku książka w roli środka służącego poznawaniu świata, została zupełnie zastąpiona przez telewizor bądź komputer; bardzo często przez oba te urządzenia.

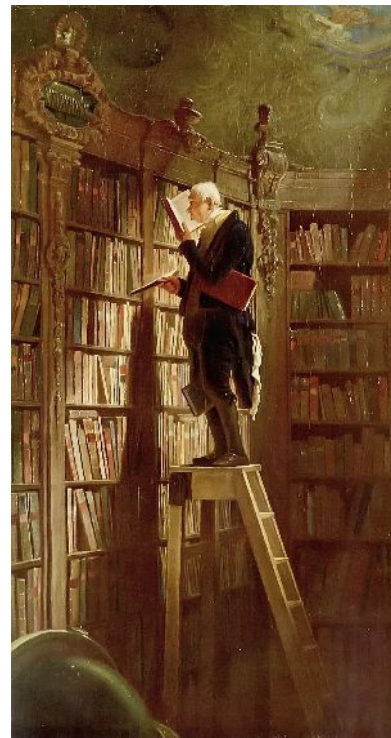
Telewizor to obraz i dźwięk, a komputer to jeszcze dodatkowo słowo pisane. I, tak jak książka, oba te urządzenia stanowią narzędzia służące zdobywaniu wiedzy, jak i rozrywce. I jeśli chodzi o skuteczność, są równorzędne (do czego poszczególni ludzie wykorzystują te możliwości, to już inna sprawa). Stawianie każdej książki na piedestale, jako najznakomitszego narzędzia, jest nadużyciem. Należy przy tym pamiętać o książkach zawierających idee, które, gdy zostały wprowadzone w życie, sprowadziły na pewne grupy ludzi, nie ważne jak liczne, nieszczerście czy wręcz śmierć.

Książki, oczywiście, nie są niczemu winne. Winę ponoszą konkretni ludzie (w mniejszym stopniu autorzy, w dużo większym stopniu ci, którzy zaczęli wprowadzać w życie ich niebezpieczne pomysły).

Tym czym książka góruje nad innymi mediami/środkami/urządzeniami jest korzystny wpływ na wyobraźnię. Czytelnik musi ją jednak zaprząć do „pracy”, gdy ma, na przykład, do czynienia z opisami bohaterów jakiejś powieści. Skazany jest na nią również wtedy, gdy książka opatrzona jest ilustracjami. Są one bowiem jedynie, jakby szablonami, które należy wypełnić. Dopiero bogata wyobraźnia pozwoli stworzyć pełne obrazy, pojawiające się każdorazowo, gdy wzrok będzie napotykał, przykładowo, imiona bohaterów. Natomiast obraz, jaki będzie pojawiał się na ekranie tego czy innego urządzenia, podawany jak na tacy, za każdym razem będzie sprowadzał wyobraźnię w stan uśpienia. Może nawet będzie prowadził ją do, powolnego bądź szybkiego, uwiadu.

Książka posiada jeszcze inne pluse. Zaczne od jej, że tak powiem, poręcznej fizyczności (opasłe tomiska stanowią marginalne zjawisko). Sprawia ona, że z książką w rękach można zasiąść w wygodnym fotelu, jak i na przydrożnym kamieniu. Będąc pograżonymi w lekturze, nie tylko zdobywamy wiedzę bądź przeżywamy ucieczkę od rzeczywistości, ale także smakujemy czas spędzany w spokoju. Wtedy również, zupełnie bezwiednie, bez żadnego wysiłku, nawiązujemy kontakt z tymi wszystkimi użytkownikami książek, którzy żyli przed nami. I wykonywali te same, wspomniane już, czynności, co my (niejednokrotnie czytali te same utwory). Uczestniczymy wtedy w swoistym misterium. Natomiast zasiadając przed telewizorem lub ekranem komputera zrywamy więzi z tamtym światem i z tamtymi ludźmi. I czynimy to nieświadomie. Z tych związków niewiele zdaje sobie sprawę. A gdy jest jednak inaczej, to uznaje, że są one zupełnie nieistotne.

Więzi łączące obecnych użytkowników telewizorów i komputerów z tymi, którzy należą do przyszłych pokoleń, najprawdopodobniej nie powstaną. A mówiąc dokładniej – nie zdążą się nawiązać, gdyż pogoń za nowinkami technicznymi sprawi, że stosunkowo szybko oba te urządzenia zostaną zastąpione jakimiś nowszymi.



Carl Spitzweg, *Mól książkowy*, ok. 1850

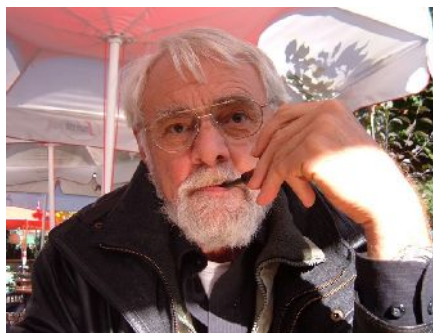
Człowiek spędzający życie pośród książek, jedynie z nich czerpiący wiedzę o otaczającym go świecie, czyli przysłowiowy mól książkowy, w żadnym razie nie powinien być ideałem. Życie tylko w pewnym stopniu jest bowiem tożsame z zawartością książek (także z programami telewizyjnymi, filmami, gramami komputerowymi itd.). Dlatego, że po prostu jest czymś innym. Z tej choćby racji, że wielu jego przejawów nie sposób zawrzeć w słowach, także w obrazach (z uwzględnieniem ruchomych). Jak najbardziej wskazane jest więc osiągnięcie równowagi pomiędzy światem wręcz zapchanym/przepełnionym książkami, a światem całkowicie ich pozbawionym. Albowiem życie wyimaginowanych bohaterów można wielokrotnie przeżywać za sprawą zadrukowanych stron, a własne (tu i teraz) jeden, jedyny raz. Z tym, że o ile jedna skrajność, ta uosabiana przez wspomnianego mola książkowego, jest bardzo rzadko obserwowana, to druga, reprezentowana przez człowieka, którego ręce i oczy nie mają kontaktu z książką, jest powszechnym zjawiskiem. Niestety!

Dariusz Pawlicki

* Ernst Jünger, *Promieniowania*; Czytelnik, Warszawa 2004.

** Marokin (od nazwy kraju Maroka) – skóra kozłowa specjalnie wyprawiana i tłoczona.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

W górach jest wszystko, co kocham

...I wszystkie wiersze są w bukach. Zaw sze, kiedy tam wracam, biorą mnie klony za wnuka. **Marek Jerzy Stępień**, autor książki pt. „Pożegnanie z Tatrami” nie jest górale, ale od młodości pokochał góry i jak twierdził kiedyś w rozmowie ze mną na organizowanych „Poetyckich Ogrodach” – ciągnie mnie w góry głęboka tęsknota, która jest jak nieustanny, ćmiący ból zęba, który dziwnym trafem właśnie na szczycie góry ustaje. Niech mu będzie. Nie ma w Marku żadnego pragnienia heroizmu, po prostu każdego ranka, kiedy z okna jego domu w Limanowej rzuci okiem, widok gór budzi w nim głód trudu pieszej wędrowki i tym, czym go jeszcze góry zaskoczą.

Jego publikacja książkowa to w zasadzie rodzaj dziennika, swego rodzaju raptularz codziennego życia w którym, obok innych obowiązków, góry zajmują bardzo ważne miejsce. Większość poetów i pisarzy para się wypełnianiem takiej pamiętnikarskiej tablicy pamięci. Wielu ich dzienniki wyniosły wysoko w pisarskiej prowincji, choć bywa to jedynie odskocznią i tylko chęcią pozostawienia po sobie śladu odcisniętego stopami słów. Szczególnie może to mieć znaczenie, kiedy z niepokojem spogląda się w kierunku przyszłości za sprawą choćby jakiegoś dotknięcia cierpieniem. I o tym też pisze autor w początkowych rozdziałach książki. Problem Marka to napadowe migotanie przedśionków serca. Niestety, ale te wszystkie nasze choroby pogłębiają te okresy naszego życia właśnie cierpieniem w rozpacz. Marek posiadał wiedzę, aby zrozumieć to swoje serce i jako nade wszystko poeta, autor 16 tomików wierszy, zdobył się na to, aby wejść do jeszcze jednego gabinetu lekarskiego, do Boga, przynosząc ze sobą tomik „Sonety dla Boga”.

Każda choroba to dłużący się szlak cier niowy, ale też może stać się ona impulsem, która umożliwił autorowi pokonywać szczyty gór, tych naszych Tatr, oczywiście szlakami turystycznymi, kiedy nie jest się tatarnikiem. W ten sposób góry stały się częścią jego oso-

bowości. Marek potrafi pięknie rozmawiać o przemożnej sile i potędze gór. W swoim domowym archiwum mam zdjęcie Jerzego Harasymowicza stojącego w grupie kolegów, uczniów Gimnazjum Leśnego w Limanowej. Być może ten wielki nasz poeta (w tym roku obchodziliśmy 100-lecie urodzin), właśnie zafascynował Marka przyrodą Karpat i Bieszczad, nad którymi rozsypano jego prochy. Z kart książki Marka Stępnia odczytujemy jakiś stan udręki. Poeta może czuć się bezradnym, ale nie musi być udręczony, czym czasami można zatruć swoich czytelników. Harasymowicz mówi: „Kocham życie i jestem wrogiem udręki. Nie wierzę w sens cierpienia”. Uważał, że wszelkie cierpienie można przezwyciężyć może właśnie w sztuce, jak człowiek wiary przezwycięża w religii. A przecież Harasymowicz miał za sobą lata ciężkiego więzienia i obozu koncentracyjnego. Był torturowany i umierał z głodu.



Rys. Kazimierz Iwosse

Czytając książkę Marka Stępnia chciałoby się mu powiedzieć jak przyjacielowi, że to wszystko, co przeżył Harasymowicz nie zabiło w nim wiary w życie, a przeciwnie, ją umocniło.

Trudna to lektura do poduszki. W oczach ma się widoki, które odkrył autor, widoki z ponad trzydziestu pięciu górskich szczytów (a wszystkie powyżej dwóch tysięcy metrów), opisując dokładnie prawie wszystkie wejścia – bywało, że razem z żoną Krystyną.

Oglądając te szczyty górskie razem z nimi wierzę, że życie dopisze jeszcze inne szczyty do zdobycia przez nich oboje i tego im życzę.

Kazimierz Iwosse

Marek Jerzy Stępień, „Pożegnanie z Tatrmi”. Wydanie autorskie, Limanowa 2019, s. 150.

PS. „Wszystkie wiersze w bukach”. Tom poezji Jerzego Harasymowicza.

Pożegnanie Bogusława Pasternaka

Odszedł poeta. Odszedł człowiek. **Bogusław Pasternak**. A jeszcze niedawno był pośród nas – łącząc nicią życia dwa światy: świat historii literatury ze współczesnością. Jeden z ostatnich seniorów literatury, dzięki któremu to, co było jej przeszłością, żyło prawdziwie.

Był poetą, prozaikiem, publicystą, animatorem życia kulturalnego. Ukończył studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Był współzałożycielem grup poetyckich „Kaskada” w Starachowicach i „Ponidzie” w Rożnicy, a w 1984 Oddziału Związku Literatów Polskich w Kielcach.

Odszedł świadek żywej historii, która powoli, dzień za dniem, miesiąc po miesiącu i rok po roku prawie niedostrzegalnie odchodzi w przeszłość.

A jeszcze w zeszłym roku, upalnym latem, wspólnie siedzieliśmy na ganku Różanego Dworu, przy Okrągłym Stole i snuliśmy barwne, żywe opowieści o życiu, ludziach, Polsce i literaturze. Cały ten dawny świat ozywał wtedy przy świecach całą swoją mocą i kolorytem minionych dni. Bogusław Pasternak, posiadał dar ogromny odkrywania w ludziach tego, co najlepsze.

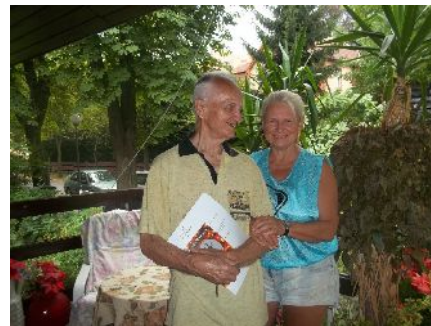
Człowiek rodzi się poetą i nie nauczą tej sztuki ekspresji żadne podręczniki i uniwersytety. A Bogusław Pasternak był prawdziwym poetą.

Jakże piękny i prawdziwy był świat odkrywany nam przez tego poetę. Świat wyrosły z jego ziemi, którą tak mocno ukochał, z pół życia twardego, co rzeźbił dłoń i duszę człowieka. A był człowiekiem wypełnionym wielką radością i umiłowaniem życia, które wypełniało każdy zakątek jego duszy...

Kiedy czyta się wierszem Bogusława Pasternaka przed naszymi oczami pojawiają się twarze pełne uśmiechu i słychać cudowną muzykę świata.

Jak piękny i pełen prawdy świat nam pozostał...

Monika Maciejczyk



Autorka z Bogusławem Pasternakiem.
Różany Dwór, lato 2018.

Kozetka (52)



Lekki galimatias

If you are trying to be hip... be hip.
Miles Davis

Joanna Friedrich

W tradycji japońskiej nastał Kannazuki, chaotyczny miesiąc „bez bogów”.

Matka Natura święci triumfy na wybiegach. Leśne mchy, kaskady zieleni, tropiki, kwiaty przez cały rok.

Tak można żyć.

Moda umożliwia omijanie nieulubianych sezonów, życie – jak ubieranie się – „na cebulę” i inne estetyczne wybiegi dostępne lekkoduchom.

Przyroda sezonami się szczyli i zima nas nie ominie.

Według Osamu Yokonomiego, jesień stuzdzi myśli i rozgrzewa serca. (Podaję za Dominiką Szczechowicz, której blog „Wszystkiego japońskiego” serdecznie polecam.)

Według mnie – jest dokładnie odwrotnie.

I tak jak Włosi są mentalnym rodzeństwem Polaków (może stąd moja namiętność do włoskiej mody), tak Japończycy są naszym negatywem (stąd ich namiętność do Chopina).

W modzie jest lekki galimatias.

Bo też lekki galimatias na świecie.

Zwierciadło czasów, słowo się rzekło.

Nie ma niemodnych połączeń, nie ma mezaliansów.

Zgadzamy się na wszystko.

Rządy chaosu są pociągające.

Czasy są takie, że intuicja zawodzi nawet najlepszych.

Aż kusi kupić bloodhonda – dla zasady.

Oprócz tego, mam już pierwsze życzenie

do Mikołaja: płacący pierścionek. Są już takie, działają jak karty zbliżeniowe. Doświadczenie nauczyło mnie, że z elementów biżuterijnych, pierścionek jest jednym z trudniejszych do zgubienia, choć też można, ale w jaki sposób, nie przyznam się nawet nad urną.

Starość, drogie dzieci, jest bardzo podobna do młodości: „jest straszna, bo jest się niskim i nie ma się własnych pieniędzy” – wiem to z felietonu Pana Pawła Demirskiego.

Miałabym i drugie życzenie: piękny dom z zaawansowanym ogrodem w stylu japońskim a la Wielki Szu, ale to, razem z adresem, chętnie odstąpię: piszcie na tzw. priv.

Może faktycznie jesienią za dużo myślę, o co podejrzewa mnie moja Druga Połówka, kiedy przynosi mi wieczorem gorącą czekoladę.

Może nie potrzebuję ghostwriterki, pokójków, ani niani jak Scarlett O'Hara.

Może sensem życia jest życie towarzyskie. Wtedy przestajesz myśleć o klonowaniu. Wszystko dzieje się samo i układa, jak puzzle. I jeszcze jest szansa na fajne niespodzianki...

Może też wreszcie w przyszłym roku w końcu wyjdę za mąż.

Moja suknia wyglądać będzie wtedy tak:

Valentino, Spring ready to wear, 2020:

Déjà vu.



Zauważyć człowieka...

Codziennosc mniej lub bardziej kreuje nas pewne postawy. Nie rzadko podstawiając oczywiste wzorce, które akceptujemy bądź nie. Najchętniej jednak sięgamy po nie, ponieważ błyszczą i nęcą, zachęcając do coraz częściej widocznego zbiorowego naśladowstwa. Tak dzieje się współcześnie na wielu płaszczyznach funkcjonowania człowieka. Owo codzienne wygodnictwo zniekształca rzeczywiste obrazy

i zjawiska towarzyszące nam każdego dnia. Innymi słowy, znieczuleni na subiektywną optykę postrzegania, gubimy indywidualność klaszcząc w ręce tylko dlatego, że inni biją brawo.

Ja również z wielką satysfakcją biłam brawo, po zakończeniu prezentacji poezji **Jerzego Stasiewicza**, na kolejnym z nim spotkaniu w Miejskim Domu Kultury w Nysie 5 października 2019 roku. Biłam brawo, dziękując poecie, który nie płynie z nurtem łatwego populizmu, lecz w swoich wierszach dostrzega i pokazuje człowieka, wyizolowanego od pozorów i bylejałości świata współczesnego. Przedstawiona poezja dowiodła, że twórczość Jerzego wyrasta ze zdrowego drzewa człowieka świadomego, z kultury osobistej, oraz własnych doświadczeń. Poeta chętnie sięga po wartości tradycji rodzinnych i historii czyniąc to z miłością, i należytą estymą. Z wierszy zaś bije spokój i kultura poety nie szafującego nadmiarem słów czy rozregulowaniem literackim. Epatuje szczerością emocji, wobec narcystycznej otuliny ludzkiej egzystencji. Pisząc o tych zjawiskach, używa narzędzi umiarkowanych i stonowanych kulturą namysłu oraz operując stosownym cyzelowaniem słów. Poezja ta niezmiennie jawi się nadzieją, rozbłyskując prostotą płynących z niej głosów, z jednoczesnym bogactwem pojawiających się rzeczowych powściągliwości. Jerzy jest indywidualistą, nie kryje się za parawanem pozorów i hipokryzji. Kolejne tomiki wierszy udowadniają tę zdolność, obserwowania i analizowania dzisiejszej egzotyki życia. Jest prawdziwy, jak prawdziwe są jego wersy, zakotwiczone w głębokich refleksjach człowieka, próbującego skupić uwagę innych na tym, co w życiu i poezji było, jest i będzie najważniejsze, czyli; **ZAUWAŻYĆ CZŁOWIEKA...**

Zofia Kulig

Jerzy Stasiewicz

* * *

Dopiero kiedy poznał poezję prawdziwą,
Słowa moje zaczęły oznaczać życie.

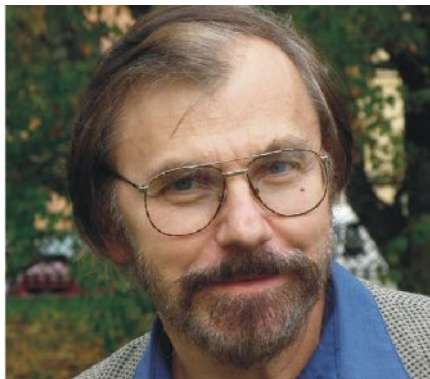
Drzewa gięte ciężarem owoców,
Chyliły się jak matka strapiona śmiercią syna.

Płacz dziecka był tak głośny niemiłosiernie,
Że przelatujące ptaki upuszczaly pióra na maskotkę.

Okna czarne od sadzy – niemyte nigdy
Patrzyły oczami szyb w całodobową ciemność.

Emeryt zbierał w parku butelki
Pijakom dziękował za rozrzucony chleb.

Listy do Pani A. (136)



Dwie Jesienie

Droga Pani!

Byłem, jak co roku, na Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej, organizowanej w Ciężkowicach przez Andrzeja Grabowskiego. Lubię tam jeździć, jak zresztą na wszystkie podobne imprezy, ale kiedy już zbliża się termin wyjazdu ogarnia mnie przerażenie. Mam mnóstwo wątpliwości: jaka będzie podróż, czy dam radę przejechać taki szmat drogi; jak zniosę późne powroty z koncertów poetyckich, jazdy po ciemnych, nieoznakowanych i wąskich drózkach uchodzących za szosy (nazywanych przeze mnie „gówniankami”, co się przyjęło w szerszym gronie uczestników). To niekiedy są koszmarnie jazdy. Widzę przecież wszystko przez dwie szyby: tę samochodową i przez okulary. A jeśli jeszcze pada deszcz, a w dodatku jadący z przeciwka i za mną oślepiają, to może Pani sobie wyobrazić jaka to gehenna. I tak przez kilka tygodni histerycznie zawracałem głowę Ani wygłaszając tyrady na temat jechać – nie jechać.

Inauguracja Jesieni miała się odbyć wieczorem w Starym Sączu, co przerażało mnie jeszcze bardziej. Daleko, drogi złe, trzeba przejechać przez Nowy Sącz, który jest miastem dosyć skomplikowanym. Nagle przyszła wiadomość, że mamy dojechać tylko do Ciężkowic, a stamtąd będzie bus. Odżyłem i nabrałem ochoty do jazdy. Jakieś spore obciążenia miałbym z głowy.

Umówiliśmy się z Kysią Konecką, że będą na nią czekał w Zawierciu, ona przyjedzie pociągiem z Białegostoku, wsiądzie do mojego samochodu i razem pomkniemy do Galicji. Wsiadła, jedziemy, czas upływa miło, a tu nowa wiadomość: busa nie będzie, mamy jechać do Starego Sącza, po drodze kogoś zabrać z Ciężkowic. Samochodów za mało, trzeba ludzi pozierać, bo coś nie wypaliło, coś było niedograne do końca. Och, jak ja się wkurzyłem. Dobrze, że Pani nie jechała ze mną, bo odniosłaby wrażenie, że jedzie ze strasznym, chamskim starym dorożkarzem. Zapowiedziałem, że za żadne skarby nie pojedę do Starego Sącza, że nazajutrz wracam do domu. Mocno się zdenerwowaliśmy, Andrzej Grabowski był wściekły, a ja jeszcze bardziej. Kiedy stwierdził, że w ten sposób rozwalę imprezę, krzyknąłem, że ona już od

początku była rozwalona, co z kolei rozszerzyło Andrzeja. Nie będę Pani opisywał naszej pyskówki. W rezultacie Krysia zaczęła się odwoływać do resztek mojego rozumu, uspokajając, łagodząc. I w końcu sprawdziło się powiedzenie, że gdzie diabeł nie może... Pojechaliśmy zatem do Ciężkowic, skąd zabraliśmy Artura Grabowskiego, poetę, syna Andrzeja, i kierując się wskazaniem sztucznej inteligencji (od niedawna mam smartfona, a w nim nawigację) dojechaliśmy jakimiś wąskimi drózkami do Starego Sącza. Ale było sucho i widno.

Andrzej Grabowski z ekipą ukraińskich poetów wracali z Iwano-Frankiwska. Do Sącza dotarli późni. Krysia Konecka, Artur Grabowski, Lam Quang My, który wcześniej przezornie dotarł koleją, oraz ja ratowaliśmy imprezę, czytaliśmy wiersze, a Lam śpiewał po wietnamsku, dopóki nie przyjechała reszta ekipy.

Powrót był koszmarny. Wprawdzie nawigacja świetnie mnie wyprowadziła z omińnięciem Nowego Sącza, ale potem skierowała mnie na tę samą „gówniankę”, którą jechaliśmy w tamtą stronę. Było już ciemno, rozpadał się deszcz, ale jakoś przeżyliśmy.

Trudna była następna trasa do Ochotnicy Dolnej, też w deszczu i ciemnościach. Ale to wszystko rekompensowała nam serdeczność ze strony miejscowych pań bibliotekarek, a także licznie zgromadzonych słuchaczy.

A potem podróż do Frysztaka i Czudca. Miałem zostawić we Frysztaku dwoje poetów, a sam pojechać z Tamarą Łucenko z Ukrainy do Czudca. Niestety do Frysztaka dotarliśmy za późno. Zadzwonili z Czudca byśmy już nie przyjeżdżali, bo wszyscy się rozeszli.

W Oleśnie – jak zwykle – świetny koncert poetycko-muzyczny z udziałem zespołu „Ostatnia Wieczera w Karczmie Przeznaczona do Rozbiórki”. Przypomniły mi się dawne lata świetności Galicyjskich Jesieni Literackich. Ze wzruszeniem słuchałem piosenek, m.in. „Pali się fajka nocy” – hymnu festiwalu.

A na zakończenie – jak zwykle – koncert poetycko-muzyczny w Tarnowie. Nie lubię jeździć po tym mieście, ale tym razem pilotował mnie Jan Dyduśiak, wskazał właściwy parking, i zaopiekował się nami, tj. Yulią Sudus z Ukrainy, Kysią Konecką i mną. Niestety na koncert przychodzi coraz mniej osób. Nie, nie było pusto, ale w porównaniu z tym co kiedyś, to raczej frekwencja skromna.

Podczas którejś z wędrowek zadzwoniła do mnie Aldona Borowicz. Kazała mi kategorycznie tonem prezski przyjechać na inaugurację Warszawskiej Jesieni Poezji, włożyć garnitur, czego raczej nie znoszę. Nie chciała mi powiedzieć dlaczego tak mam cierpieć, ale stwierdziła, że będę usatysfakcjonowany. Zacząłem intensywnie myśleć, co to może być.

Posłuszny słowu pani prezes pojawiłem się wraz z Anią na uroczystości inauguracyjnej. Wiedzieliśmy już, że Ania Musz będzie udekorowana odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Mówił nam o tym wcześniej Stanisław Nyczaj, bo to na jego wniosek przyznano tę odznakę Ani. A ja wcale nie wiedziałem, dlaczego Aldona nalegała, bym i

ja się pojawił.

Wszyscy się ze mną i z Anią serdecznie witali, ale nikt nie chciał powiedzieć, co mnie czeka. Jak niespodzianka, to niespodzianka.

Inauguracja wypadła świetnie. Wiersze klasyków interpretowali wybitni artyści, Andrzej Ferenc oraz Krzysztof Gosztyła. I przyszedł moment, kiedy Staszek Nyczaj zapowiedział, że teraz nastąpi wręczenie odznaki najmłodszej osobie w dziejach tego odznaczenia. Ania weszła na estradę, a Marek Wawrzkiwicz przypiął do jej wyteżonej piersi bardzo ładny, stosowny medal. Przebrała swój wiersz, i na tym oraz na podziękowaniach ta część się skończyła.

Domyślałem się, że teraz będzie moja kolej. I rzeczywiście. Marek Wawrzkiwicz (jako prezes ZG ZLP) odczytał protokół Kapituły. Okazało się, że otrzymałem Literacką Nagrodę im. Juliusza Słowackiego, za twórczość poetycką. Piękną statuetkę odebrałem z rąk Marka Wawrzkiwicza i Zbigniewa Milewskiego. Trzeba było coś powiedzieć. Trochę stremowany, ograniczyłem się do podziękowań Kapitulie, Markowi Wawrzkiwiczowi, którego poznałem dawno, jeszcze w „Nowym Wyrazie”, kiedy przychodziłem do niego jako zupełnie młody autor, Aldonie Borowicz prezesce Oddziału Warszawskiego ZLP, Staszce Nyczajowi, znakomitemu poecie, wydawcy mojego jubileuszowego „Spaceru do siebie” oraz Ani Musz, która podtrzymuje mnie na duchu i cierpliwie znosi moje humory i histerie. Tak powiedziałem, zgodnie z prawdą!

Potem odbył się piękny i wzruszający recital Joanny Rawik. Co za głos! Jaki artyzm w każdym geście! Byliśmy jak zahipnotyzowani.

Po wszystkich najbliższych przyjaciół zebrał się w salce Zarządu Głównego. Byli Marek Wawrzkiwicz, Aldona Borowicz, Andrzej Tchórzewski (laureat Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza), Basia Śliwonikowa, Krystyna Konecka, Andrzej Walter wraz z żoną Jagą, Grzegorz Trochimczuk, Elżbieta Musiał. Wypiłem – jak za dawnych lat bywało – trochę wódki i wypaliłem parę papierosów. Poczułem się bardziej lekki i bardziej młody niż jestem. Ale co tam metryka, prawda? Wspomnieniom, anegdotom, konceptom nie było końca. Andrzej Walter zrobił fotoreportaż. Miałem nadzieję, że Pani także tam jest, uczestniczy w tej pięknej uroczystości, a wcześniej w galicyjskich spotkaniach.

Lubię jesień, nastraja nostalgicznie, przypomina o tych, którzy byli z nami, ale odeszli z niezrozumiałych dla nas wyroków... Pomyślmy o nich ciepło.

Pozdrawiam Panią serdecznie –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Czy Witkacy wstąpiłby do partii?

Jeszcze niespełna dwa miesiące i wszyscy rzucimy się w wir przedświątecznych zakupów. Ale większość sklepów już teraz oferuje bogaty asortyment różnych produktów – od odzieży i artykułów gospodarstwa domowego, aż po książki, kasy i płyty.

Andrzej Dębowski

Wybór jest naprawdę imponujący, a wchodząc do sklepu można dostać przysłowiowego oczopląsu. Z jednym jest tylko problem. Nie na wszystko można sobie pozwolić, bo choć od przystąpienia Polski do Unii Europejskiej nie mięło aż tak wiele czasu, to z cenami już dawno te starą Europę prześcignęliśmy. O ile nie denerwują się tak bardzo, gdy nie stać mnie na zakup kolejnej lodówki czy pralki firm Mastercook, Bosch, Amica, kolejnego garnituru od Pierre'a Cardina, choć drugi raz w ciągu roku nie zmieniam samochodu, to bardzo złości mnie fakt, że stojąc przy pełnych półkach księgarskich zastanawiam się: kupić tę książkę, czy odłożyć ją z powrotem na półkę. A przecież czytanie książek jest moją podstawową powinnością i warsztatem pracy, jak, powiedzmy, dla sprzątaczkę odkurzacz, wiadro, szczotki, szmatki, środki czystości itp.

Jak więc mam dobrze wykonywać swoją pracę? Ktoś powie, że mogę skorzystać z biblioteki. Otóż nic bardziej mylnego. Biblioteki w dobie gospodarki kapitalistycznej nie mają po prostu pieniędzy na zakup książek, a te książki, które kupują, absolutnie nie nadają się do wykonywania jakiegokolwiek pracy – chyba, że pracą można nazwać popołudniowy wypoczynek przy lekturze romansów i niezwykle ostatnio modnych kryminałów.

Książki są w Polsce za drogie. Dotyczy to

również płyt kompaktowych. Ich bardzo wysokie ceny blokują dostęp, zwłaszcza młodym ludziom, do kultury masowej. Proste wycenienia sugerują, że krociowe zyski zgarniają przy tym wydawnictwa i firmy fonograficzne. Piractwo jest wprawdzie nielegalne, i słusznie, ale w rozumieniu rynkowym uchodzi za „zdrowy” sposób upowszechniania kultury. Niektórzy mówią, że jest to jednak myślenie powierzchowne i schematyczne. Może i tak jest, wcale nie przeczę. Nie popieram również piractwa, ale z drugiej strony chyba nie jest normalne, kiedy w kraju o 60-procentowym wtórnym analfabetyzmie przeciętna powieść współczesna lub płyta kompaktowa kosztuje w granicach 50-60 złotych. Kogo na to stać? Bo mówię tu o 80% Polaków, a nie o tych, którzy w domach zamiast książek, mają na półkach skórzane grzbiety książkopodobne. Wiem, że wyprodukowanie płyty, opłacenie muzyków, studiów, promocja, to ogromne nakłady finansowe. Skoro jednak firmy fonograficzne narzekają, że są okradane, to może pewną przeciwwagą dla piractwa byłoby zmniejszenie o połowę ceny swoich produktów. Gdybym musiał zapłacić za płytę 20, a nie 60 złotych, to na pewno nie kupiłbym pirackiej. A zamiast jednej czy dwóch płyt miesięcznie miałbym ich cztery czy pięć. Sadzę, że byłoby to z korzyścią i dla mnie, i dla wykonawców, i dla firm fonograficznych. Nikt nikogo nie okradłby.



Rys. Sławomir Łuczyński

Gorzej jest natomiast na rynku księgarskim. Piractwo książkowe nie jest tak bardzo rozpowszechnione, gdyż naród i tak mało czyta, a ta zdrowa część społeczeństwa, która chciałaby czytać, nie może, bo jej na to nie stać. W sytuacji, kiedy życie zalewane jest przez elektroniczne środki masowego przekazu, stosowanie takiej polityki jest tylko przysłowiowym gwoździem do trumny i tak zdegenerowanego społeczeństwa. Zaczynam się zastanawiać nad tym, czy komuś czasami nie zależy na tym, żeby społeczeństwo czytało jak najmniej.

Kultura i sztuka były zresztą zawsze kulą u nogi wszystkich systemów, więc trudno dziwić się, że jest coraz gorzej. A pytanie o to, czy w najbliższym czasie coś zmieni się na lepsze jest tak samo retoryczne, jak to, czy Witkacy wstąpiłby w swoim czasie do partii robotniczej, gdyby przedwcześnie nie zakończył swojego życia i przeżył wojnę? To drugie pytanie jest jednak bardziej prawdopodobne, bo być może Witkacy uznałby ten fakt, jako jeden z ważnych elementów swojego niekonwencjonalnego życia. Międzywojenna bohema artystyczna znana była z tego typu

poczynań, więc wyobrażenie sobie Witkacego, jako działacza partyjnego, który na kolejnym zebraniu, objaśnia swoim współtowarzyszom znaczenie dramatu „Wariat i zakonnica” jest czymś zupełnie normalnym. Zresztą jeżeli ktoś ma szerokie horyzonty może i wyobrazić sobie to, że po nowym roku wchodzi do księgarni i widzi oprawione w skórę powieści współczesnej literatury polskiej i obcej po np. 5 złotych lub niepirackie płyty kompaktowe po 20 złotych.



Rys. Sławomir Łuczyński

Wszystko to może się stać za sprawą naszej wyobraźni, co chcielibyśmy dostać od Świętego Mikołaja pod choinkę. Ja chciałbym dostać od naszych nowo wybranych polityków i parlamentarzystów ustawę, która raz na zawsze załatwiłaby wszystkie sprawy kultury, żeby nie była ona kartą przetargową do wystawienia inkrustowanej polichromii jakiegokolwiek przymusu bądź udawania, że przecież nie jest aż tak źle.

A tak na marginesie, książki rzeczywiście mają być nawet po 5 złotych – tak mówił Witkacy – w 1924 roku.

Andrzej Dębowski

List do Ojca

Ojcze,
Dobrze, że tego nie widzisz.
Dużo nienawiści.
Nasze głowy – pełne pustki.
Nasze ręce – brudne i chude.
Nasze serca – milczący upadek.
Śniło mi się, że tam gdzie jesteś,
Wiatr budzi w ludziach
Niewidzialną potęgę,
A Twój dzwon
Zieje strugą ciepłych oddechów.

Pytasz czy zmieniło się odkąd ostatni raz do mnie mówiłeś?

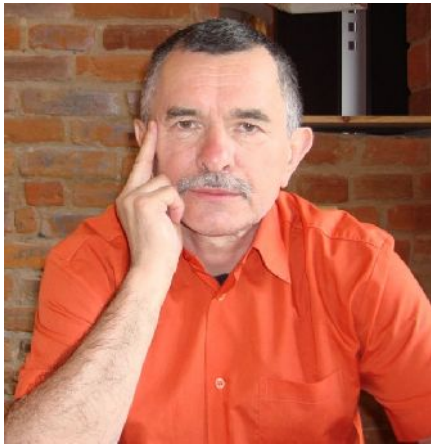
Tak.
Tłumy odwołują się do wyrwanej ciszy,
Cała ufność to cios zmąconej powagi,
A poniżenie staje pod każdym oknem
I nie chce zawisnąć na krzyżu.

Pozwól, że przerwę na chwilę.
Zgasła świeca, muszę ją zapalić –
Ale za rok przyjdę znowu.

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (44)

(fragmenty)



Kamyki z Krety

Poniedziałek

Kamienie wyrzucane przez morze na brzeg mają najrozmaitsze kształty i kolory. Moje ulubione zajęcie to spacerować na bosaka po drobnym piasku i wybieranie najpiękniejszych, a potem wyładowywanie nimi kieszeni. W wodzie kamyki wyglądają jak polakierowane, ale gdy obeschną, tracą na urodzie. Wybieram czarne, czarne peregowane brązem i szmaragdem, bielutkie lub nakrapiane jak jajka przepiórki, kryształowe cukierkowate lub duże jak kule armatnie...

Jestem przerośniętym dzieckiem... Choć bywam też od urodzenia starcem. To schizofreniczne rozdwojenie uczyniło mnie poetą, który bawiąc się i ciesząc, a czasem poddając urokowi beztróskiego wyglądu – ma również poczucie marności każdej chwilowej radości...

Nad głowami również kamienie, ale kamienie-głazy, kamienie-skały zastygłe po wulkanicznych erupcjach wynikłych z trzęsienia ziemi, których Kreta przeżyła kilka, a może kilkanaście w swojej bogatej historii. Praczas zaklęty w kolczastych, wystrzępionych skałach i grotach musi budzić respekt.

skały zwisają
nad głową
jakby za chwilę miary runąć
i tak mija
niezauważalnie
milion
za milionem
lat (...)

a poniżej
chwilowa krzątanina ludzików
na plaży
którzy nic sobie nie robią
z własnej znikomości (...)

2
wieczorem skały
zdają się całe
zamienione w słuch
wsłuchane w plusk
ciemnych wód
śpiewających
namiętną pieśń życia
lecz tak naprawdę
pozostają na to wszystko
głuche

nawet gdy ciemne libijskie morze bije
wielorybim ogonem
o skaliste wybrzeże
a tamaryszki o zmierzchu
słono płaczą (...)

Wtorek

Przed południem morze bywa wesołe jak dzieci wracające ze szkoły. Miliardy błyszczących słończnych igrających same ze sobą.

Z hotelu „Calypso” gdzie mieszkamy, prowadzi aż do trzech plaży odludna kamienista dróżka-półka wzdłuż wybrzeża, podwieszona u stóp skalistych gór i raz pnąca się w górę, raz opadająca w dół. Oszałamiający zapach ziół i kwiatów: kolczastych chaszcy makii, czyli krzewów-jeżowców, oleandrow, olbrzymich kwiatów rumiankowych czy rozkwitających właśnie na zielono, biało, fioletowo, amarantowo i żółto kęp porostów wciskających się w każdą międzyskalną szczelinę i wykorzystujących swoją życiową szansę. Ogromne osty wyglądają jak rycerze w kolczugach i zbroi, a kopry przerastają wzrostem człowieka.

Kreteńczycy, wychowani w surowych warunkach na tej piątej co do wielkości wyspie Morza Śródziemnego, gdzie mieszka ich 600 tysięcy, zdobyli w ciągu wielu wieków wiedzę, jak wykorzystywać otaczające bogactwa flory: zbierać i suszyć zioła, służące jako przyprawy i do celów leczniczych, jak przechowywać i marynować owoce na czele z oliwkami z gajów oliwnych pospolitych jak u nas jabłonki.

Zdrowa dieta, potrawy przyrządzane na bazie oliwek, wysyłanych też na eksport, duża ilość zjadanych owoców cytrusowych, brzoskwiń, gruszek oraz warzyw (podobno cztery razy więcej na głowę konsumenta niż w innych krajach) to ponoć główne, choć nie jedyny powód długowieczności Kreteńczyków.

Wyspa może się sama wyżywić, produkty ma w dużym stopniu ekologiczne. Jak wykazały prowadzone przez wiele lat badania porównawcze Światowej Organizacji Zdrowia, krajanie autora „Greka Zorby” zapadają rzadko na choroby serca. W porównaniu z pożerającymi góry mięsa Amerykanami czy Holendrami śmiertelność spowodowana tymi chorobami była tu nieporównywalnie, bo niemal pięćdziesięciokrotnie (!) mniejsza. Piszę „była”, bo te wyniki pochodzą z lat 60., a od tego czasu Kreteńczycy, mówiąc żartobliwie, się „ucywilizowali”, to znaczy zmienili dietę i stali się wygodniejsi, czyli mniej ruchliwi. Wprowadzili do menu jagnięcinę, koźlinę, drób czy wieprzowinę, a poza tym przeciętny Kreteńczyk, który kiedyś pokony-

wał pieszo 30 km dziennie, dziś, „dzięki samochodom” i maszynom ułatwiającym życie, rusza się o wiele mniej – przeciętnie 3 km dziennie. Nie jest już tak sprawny i szczupły, lecz bywa krzepki w barach, a czasem lekko otłuszczony...

Dalej jednak wiejski chleb, oliwki, soczyste nasłonecznione pomidory, różne rodzaje pysznych serów owczych czy kozich, jogurty z miodem, że place lizać na śniadanie, ciemny wiejski chleb z oliwą, solą i oregano, owoce morza oraz szklaneczka wytrawnego wina stanowią rytualną podstawę kuchni kreteńskiej, o której walorach mogłem się przekonać jako mieszkaniowiec odludnego, wkomponowanego w skały hotelu „Calypso Cretan Village”, oddalonego od najbliższego miasteczka Plakias o sześć górzystych kilometrów.

Niedziela

...Wychodzi się przed domek pomalowany na pastelowo, zadziera głowę i widzi wystrzelające pionowo w górę na 500 m klify skalne. Czasem zobaczy się skaczące jakimś cudem po tych pionowych ścianach kozice-akrobatki i przefruujące majestatycznie orły. A poniżej, u stóp ośrodka z zatoczkami i fiordami – morze, które zmienia swe odcienie błękitu w zależności od pogody, natężenia światła i pory dnia...

Gdy się wpatrzeć aż do zatraty ostrości widzenia w głąb morza srebrzącego się w słońcu, jawi się ono jako miliardy egzemplarzy fal-migotek.

A gdzieś dalej morze rozptywa się w błękitach i miesza z niebem, jakby anonimowy malarz tworzący fakturę obrazu usiłował zamazać różnicę między tym, co płynne, a tym, co lotne...

Calypso Cretan Village znajduje się w południowo-zachodniej, rzadko zaludnionej części Krety. W latach 70. stało tu tylko parę chat rybackich, a okolica była „zamieszka” przez pojedyncze kozice, głazy, kamienie, dzikie kwiaty i zioła. Dziś nad zatoką Damnoni mieszają się ze sobą nie tylko zapachy ziół i krzewów, ale i różne języki turystów pływających w morzu.

Hotel jest harmonijnie wkomponowany w skały, oddalony od innych, tak że cywilizacja nie zakłóciła idylli, a wieczorem dyskoteki nie konkurują z cykadami, toczącymi tajemny dialog z gwiazdami i ciemnym poszumem morza. Mojej wnuczce Ninie udało się nawet – z pomocą latarki – wytropić w jakimś cyprysowym krzewie taką cykadę podobną do potężnego konia polnego, który ponoć pocieraniem nóg o nogi wywołuje cykanie.

Zapach kwitnących oleandrow i bugenwilli spływających jak wodospady przy bungalowach, opuncje, palmy, gruchające synogarlice i zwinne koty przebiegające ścieżki lub wygrzewające się w słońcu – to nasze codzienne naturalne otoczenie.

cdn.



Odwrotna strona zwierciadła wiersza

Autorka ta dokonała próby oksymoronicznego zapisu codzienności, rozkładając otaczającą rzeczywistość na elementy impresyjne, by uchwycić to, co na pierwszy rzut oka jest niewidoczne. Zabiegi potwierdzają, że i poeci mają dzisiaj trudności z operowaniem językiem, metaforą, obrazowaniem świata, który jakoś się im rozpada. By wyjść z tego impasu **Małgorzata Skwarek-Gałęska** stworzyła więc ten wielowymiarowy tomik pt. „Codzienne i niecodzienne”, by następnie zlecić jego przekład na język niemiecki, co wydaje się słusznym zbiegiem wydawniczym.

W większości wierszy autorka traktuje ich tytuły metaforycznie, czasem są bez tytułu i inspirowane właśnie doświadczeniem codzienności. Poetka analizuje i ogląda otaczającą rzeczywistość, na którą składa się codzienne uczestnictwo w niej kiedy, a przez: (...) *paski żaluzji / jak dobry pies / przynosi w zębach światło / liże powieki / skórę ramion / dopóki go nie wypuścisz / wtedy wypełni głowę / bałaganem myśli.*

To automatyczne wypełnianie głowy poetki myślami i ich treściami zmienia jej nastawienie, w wyniku czego poszukuje już tylko w nim elementów, by zauważyć, że konstytuowane z nich całości nie są zadawalające i nierzadko różne od zamierzonych. W ten sposób nawarstwiają się na siebie różne sprawy budujące codzienność i jej odmienne wersje. Ta subiektywność podmiotowa autorki nawet zaciera granice między jawą i snem, dniem i nocą, powodując, iż jej dom staje się tworem plastycznym. W takich zwiewnych sytuacjach odkrywa czułość mężczyzny i wydaje jej się, że „błękitne ptaki” uwijają w jej myślach gniazda. Ten rozkład dotyczy również osoby poetki i próbuje wtedy ryzykownie grać w konstruowanie osobistego świata. Ważne w tej grze są marzenia, a ich brak powoduje, że myśli kamienią, ulegają przemocy świata i zabijają sens życia, ukazując „brzydki” obraz starzenia się. Trudno wtedy wyjść ze snu, los przypomina wznoszenie modlitwy ku niebu, pojawia się bolesny trud pisania, co poetka tak przedstawia w wierszu bez tytułu: *boli mnie wiersz / otorbił się / w żółtku // garbię się nad / ciemnym horyzontem / niemocy.*

Kiedy zastanawia się nad sensem historii, odkrywa, że słowa to przejaw fundamentu wolności w obcowaniu z nią, natomiast bardzo trudno uchwycić odgłosy zaświatów. Przemiany świata natomiast trafnie oddają pory dnia, zaś uczuć pory roku, w który „szarość cmy” przypomina o logice codzienności i roli nadziei w życiu jako osobistej historii dojrzwania, kiedy poetka pisze: (...) *nauczyłam się / słuchać każdą łuską / wiatru, światła, wody // pod skórą dnia / wyrastałam z ryby / uważnie // podklejałam ciągi / ner-*

wostrady / literami wiersza.

Poetka nieustannie napotyka bariery związane ze znaczeniami używanych słów, szczególnie wtedy, kiedy schodzi na „kwantowy poziom” analiz miłości i związanych z nią marzeń, tęsknot i uniesień emocjonalnych. Tak więc miłość, tęsknota, smutek, spojrzenie, stają się na tym poziomie opisu przeżyć poetki relatywne i względne. Opisując własne dojrzwanie emocjonalne, ale i intelektualne, autorka ukazuje względność tego wszystkiego, co upływa z przemijającym czasem, ale jedno, co jest pewne dla niej to aktywna postawa względem świata i chęć pozytywnego w nim działania, by przetrwać – cieżać owo „stawanie się”. W wierszu bez tytułu pisze: *po białych tablicach / zamyślonych dachów / wędrują smugi tęsknot / skrzędażące do spięcia / grudzień ołowianą chmurą / osiadł na drzewach / małe przecinki / ruchliwe wróble / ożywiają świat / obecność horyzontu / w szybko / uwodzi myśli / wola / zakotwicza.*

Nietrudno więc przejść obok tych wierszy obojętnie, gdyż rozszerzają one naszą wyobraźnię i przybliżają ją do codzienności w różnych odcieniach kolorów. Odsyłają również do odwrotnej (zwierciadlanej) strony naszej codzienności w świecie.

prof. Ignacy S. Fiut

Małgorzata Skwarek-Gałęska, „Codzienne i niecodzienne, Alltägliche und nicht alltägliche”. Tłumaczenie na niemiecki: Małgorzata Pótorak. Konsultacja: Reinhard Grossmann, Biblioteka ZLP Oddział Łódź, Łódź 2018, s. 132.

Podarowane piękno

Już sam tytuł najnowszego tomu **Danuty Olczak** „Bukiet słowa”, wiele mówi o jej poezji oraz cechach charakterologicznych: bukiet przygotowujemy, by go podarować bliskiej osobie, przyjacielom. Ten bukiet jest szczególnie: z pięknych, szczerych słów ułożony. Pragnienia Danuty Olczak, by obdarować słowem poetyckim wielu, wielu ludzi zdają się być niewyczerpane, nieskończone. Jej wyobrażenia pisarska, pasja twórcza i dziecięcy zachwyt, nieustannie to potwierdzają.

Szczególne miejsce w życiu jak i twórczości autorki ma ogród. Upodabnia go do życia: przynosi radość, szczęście, piękno, wyciszenie, ale też smutek, ból; zdarzają się połamane gałęzie, chwasty – niejednokrotnie rozczarowanie. W jej ogrodzie rosną cudowne, różnorodne kwiaty, a wśród nich róże cieszą się specjalnym upodobaniem w uczuciach, słowach, fotografiach. Róża o każdej porze jest piękna, inspirująca, a nawet intrygująca: *w miękkiej bieli / ogień róży wciąż płonął / zawstydzając grudniowy chłód* (wiersz „Grudniowa róża”). To kwiat unikatowy: prze-

piękne kolory (udało się wyhodować czarny), cudowny zapach (rózane olejki), aksamitne płatki i... wyjątkowa wśród kwiatów dwoiostość, dychotomia - róża ma kolce, którymi można się skaleczyć; podobne zdarzają się antynomie zdrowie – choroba, życie – śmierć, piękno – brzydota, przyjaźń – zdrada, miłość – nienawiść.

W tomie różnorodnie prezentowana jest tematyka przyjaźni (w 13 wierszach pisanych przez autorkę adresowanych do przyjaciół i 19 wierszach dedykowanych Danucie Olczak), nawiązująca do mądrej myśli flamandzkiego poety Phila Bosmansa: „Niebo zaczyna się na ziemi, tam – gdzie ludzie stają się przyjaciółmi”. Jakże trafnie ukazuje autorka ten najbardziej wartościowy stosunek między ludźmi: *największa radość / przychodzi zwyczajnie / obejmuje ramionami / trudny czas i prowadzi / do ogrodu szczęścia* (wiersz nomen omen „Smak przyjaźni”). Wyjątkowe kompetencje społeczne, emocjonalne, uczuciowe autorki potwierdzają unikatowe otwarcie na drugiego człowieka. Przekonuje, że drugi człowiek – to więcej niż cały świat. Nie można bowiem kochać abstrakcji, jaką jawi się globalny świat.

Afirmacja życia (ta najtrudniejsza ze sztuk), przyjmuje postać manifestu w wierszu – piosence „Aby żyć”: *Jak motyl powracam do słońca / aby żyć. / Odbijam się od dna bez końca / by wciąż iść. / Tracę – by zrozumieć. / przegrywam – żeby mieć. / Odchodzę – by powrócić / odrzucając lęku sieć.* Nasze życie to pasmo paradoksów, nigdy nie staje się absolutnie jednoznaczne. W tym tkwi jego autentyczna wartość. Jakże bliska jest autorka aforyzmowi św. Augustyna, (opublikowanemu w „Państwie Bożym”): „Błądzą, więc jestem”, przypominając tekst przeczytany „w jakiejś gazecie”: *Odwaga – to nic innego jak pozwolenie sobie, aby się pomylić. Jedyną porażką, jakiej możemy doznać, jest nie branie udziału, nie angażowanie się, czyli nie popełnianie błędów.* We fragmencie prozy „Ludzie są jak kwiaty” znajdujemy ciekawą myśl: *Każdy z nas, ma w sobie tyle piękna, ile zdołał odkryć, jest wędrowcem poszukującym w sobie najjaśniejszego miejsca. I choć być może nie każdy je odnalazł, to przecież nadal szuka i kiedyś na pewno zdoła odnaleźć.* W wierszu „Niezmiennność” znajdujemy trafne zauważenie: *nie każdy dzień jest dobry / ale dobro jest ważne każdego dnia.* Aprobata życia przynosi również fraza z wiersza „Na skrzydłach poezji”: *Każdego świtu otwierasz okno / Na kolejne zwycięstwo. Z kolei wiersz „Miłość jak płatki róży”, zawiera ważne przesłanie: musimy kochać – by żyć / i żyć – by kochać / to odpowiedź na wszystko.*

Wiele strof autorka poświęca poezji, co nie może dziwić, bowiem Danuta Olczak to poetka z krwi i kości, poezja jest jej podstawową formą obecności w życiu. Trudno byłoby wyobrazić sobie ją bez pisania wierszy, bez tej niezwyklej wrażliwości jaką posiada. Już w pierwszym tekście „Od autorki”, pisze: *poezja podobnie jak ogród – również jest wyciszająca (...) zawsze będzie fascynującą kompozycją myśli, uczuć i emocji (...) jest tajemniczym mostem, który łączy świat*

(Dokończenie na stronie 18)

Podarowane piękno

(Dokończenie ze strony 17)

materialny z duchowym. Nazywa ją: *bezgraniczną krainą słowa* (z wiersza „Na skrzydłach poezji”), oraz wyznaje: *zaufałam ci / powierzyłam oddech / wyszeptalam / radość tworzenia* (wiersz „Spotkanie z poezją”). Natomiast do wiersza „Planeta poezji” umieszcza wspaniałą dedykację: *Wszystkim poetom / podróżnikom słowa...*

Z wyjątkową atencją odnosi się do dzieci. Przywołuje piękną, mądrą myśl wybitnego pedagoga, wychowawcy Janusza Korczaka: „Kiedy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat”. Źródłem tej bliskości jest (jak pisze w słowie wstępnym): *dziecięcy zachwyt, który mnie nie opuszcza*. I dodaje w tekście prozatorskim „Oczy dziecka”: *Chodzi o to, aby na zawsze ocalić w sobie „wewnętrzne dziecko”, czyli zdolność ufania, zadziwiania się, kochania Boga, ludzi i świata*.

W tomie „Bukiet słowa” Danuty Olczak, ozdobionym zdjęciami róż z jej ogrodu, spotykamy cenne wskazówki dotyczące higieny psychicznej: *Odważnie patrz w oczy doświadczeniom* (tekst „Rozmowa z motylem”). W życiu należy być w zgodzie z sobą, akceptować siebie – te przesłania bez trudu można znaleźć w książce konińskiej poetki. Podobnie jak wielki uczony, profesor uniwersytetu we Fryburgu ojciec Józef Maria Bocheński, który uznaje „Ojciec Nasz” za podstawową modlitwę – fundament naszej chrześcijańskiej wiary, poetka przypominając ciekawą publikację, otwiera czytelnika na głębię tej modlitwy: *Twe słowo Panie / jest dla mnie / jak spojrzenie z miłością / i to spojrzenie / staje się mym światłem*. W „Hymnie o poezji”, nawiązując do najlepszego tekstu o miłości, jakim niezmiennie pozostaje „Pierwszy list św. Pawła do Koryntian”, przekonuje: *Tak więc trwaj prostota / piękno i poezja / a najważniejsza jest poezja*.

Przykładem bardzo dobrego warsztatu poetyckiego może być „Rozmowa z księżycem”: *Powiedz - ile srebra / ofiarujesz każdemu z nas / jak oswoiłeś samotność / dlaczego rozkazujesz / odpływać / przyplýwać / niepokornym oceanom?* Wielu poetów pisało o księżycu (sporo Konstanty Ildefons Gałczyński), Danucie Olczak udało się napisać coś absolutnie oryginalnego. Wiersz „Nadzieja ma zapach konwalii”, przynosi niezwykle piękne porównanie: *milczenie jak cisza świtu*. Wiersz „Szept róży” zawiera najkrótszą, jakże trafną recenzję: *Kochał cię Mały Książę / ucząc nas patrzeć sercem*. Podobną do poetyki słynnej opowieści Saint-Exupérygo, znajdziemy w licznych tekstach prozatorskich pomieszanych w recenzowanym tomie.

Autorka bardzo lubi podróżować po Polsce i świecie, co przynosi nowe wiersze, interesujące refleksje. Po drugiej podróży do Grecji, napisała: *wszechobecne biel i błękit / niczym jedwabne wstążki / powiewają nad grecką ziemią, a rok wcześniej: kamienie*

Akropolu / wiedzą wszystko o przemijaniu. Piękne pytanie przynosi wiersz „Jasny strumień obecności”: *czy wiesz / że od bieli piękniejsze jest / tylko światło?* – (szczególnie uhonorowanie naszej drugiej barwy flagowej).

Danuta Olczak przekazuje swoim czytelnikom wiele przesłań moralno – etycznych, które w najpełniejszej postaci zawiera specjalny list do wnuka Krystiana z okazji 18. Urodzin: (...) *życie człowieka, to wyjątkowa podróż. Łatwo jest zgubić się wśród kolorowych ofert tego świata. Można bardziej być – lub bardziej mieć (...) nawet najpiękniejsza rzecz, wynalazek czy inna atrakcja, nie zastąpi obecności bliskiej osoby. W najlepiej zaopatrzonych sklepach nie kupi się miłości, zrozumienia, współczucia, szczerości, przyjaźni, wiary, ufności i prawdy. Te bezcenne wartości trzeba odnaleźć w swoim wnętrzu*.

Teksty zawarte w tomie „Bukiet słowa” pulsują dobrem, pięknem i prawdą. Można powiedzieć, że triada Platońska znalazła w nich godne i trwałe miejsce. Książka prezentuje wartości gubione w obecnej cywilizacji, które są niezbędne w normalnym życiu społecznym jak również w egzystencji indywidualnego człowieka. Zatem należy czytać i poznawać dokonania twórcze Danuty Olczak, znakomitej konińskiej poetki i pisarki.

Paweł Kuszczynski

Danuta Olczak, „Bukiet słowa”. Drukarnia Braci Wielińskich, Konin 2019, s. 154.

Pod kopułą limanowskiego nieba

Przedstawmy niedawno wydany tomik poety związanej wręcz metafizycznie, ale fizycznie z Limanową i jej okolicami, po których niebem poeta nierzadko wędruje samotnie, czy z własnego mieszkania położonego na wzgórzu ogląda je. Mowa będzie o zawartości tomiku **Marka Jerzego Stępnia** – „Pojutrze”.

Poeta odczuwa, że nasz świat przeżywa kryzys wartości oraz wiedzy i poszukuje możliwości jego przezwyciężenia, a nawet ich zniszczenie, by w to miejsce mogła pojawić się na starych „wieżach czasu” nowa „winorośl tworzenia”. Aktualny świat pomimo barw i kolorów cierpi na uwiąd twórczy i zapewne potrzebuje jakiej alternatywy egzystencjalnej, a wierszu bez tytułu poeta tak komentuje doświadczaną i przeżywaną sytuację: (...) *Okno pełne zielonych liści / nie jest otwarte na dotyk miłości / Ona krąży dookoła naszych pragnień / i nie może się przebić / przez blokadę myśli i deszczu*.

Można więc przypuszczać, że autor widzi, iż zarówno przyroda jak i nasze myśle-

nie są zatrute dokonaniem przeszłości i domagają się nagłej zmiany stosunku człowieka do nich. W związku tym podmiot liryczny wierszy (a nawet sam autor) zastanawia się nad własnym losem, ale i odejściem z tego świata do innej rzeczywistości, choć ciągle nie udaje się mu dotrzeć do „wszechogarniającej jej całości i jedności”, co w wierszu bez tytułu tak eksponuje: (...) *Jestem sobą – ale jednak to za mało / aby płonąć radością / patrząc na różane ogrody*.

Nasz świat ciągle bowiem podlega nieustającym zmianom, w który jedno piękno natury pożera inne, a zapadająca cisza jakby akceptuje ten stan rzeczy, co niepokoi poetę i kieruje ku innym przeżyciom o charakterze moralnym. Widząc „niezdrowych ludzi” w sensie fizycznym i psychicznym w swoim otoczeniu, ofiar konsumpcji bez granic, zauważa, że tracą oni najpierw własne sumienie, i to jest przyczyną ich upadku, a więc żadna dieta „odchudzająca” nie może im pomóc. I w tym sensie utwory M.J. Stępnia mają wydźwięk proekologiczny, bo pokazują, że rozdźwięk między duszą i ciałem, ich dysharmonia, jest jedną z głównych przyczyn naszego kryzysu cywilizacyjnego. U ludzi rodzi się w konsekwencji chaos egzystencjalny, osłabiający ich wolę właściwego działania, bo zaciera się u nich racjonalność granicy między dobrem a złem nie tylko moralnym, ale i społeczno-przyrodniczym. W takiej absurdalnej sytuacji poecie bliska staje się postać mitycznego Syzyf i myśl Alberta Camusa, wyłożona właśnie w eseju „Mit Syzyfa”, a potwierdza to ten fragment wiersza bez tytułu: (...) *Co jest ukryte – pozostaje ukryte / Żaden dźwięk nie przedrze się przez ciszę / Idziemy coraz wyżej cierpimy / Szczyt widoczny w oddali / nie pozwala odpaść od skał*.

Poeta tę sytuację jednak wzbogaca o element wiary, by naszej upartości buntowniczej przybliżyć sens pozytywny. Ma to zreformować w tym stającym się nieustannie świecie, danym na wyciągnięcie ręki, nasze poczucie nadziei i obietnicy „królestwa bożego”, gdzie w przestrzeniach niebiańskich, gdyż już nie jest możliwy „raj boży na ziemi”.

Umiłowaniem do oglądania gór i nieba jest stałym motywem poezji Stępnia i w tym tomiku kolejne wiersze o tym opowiadają, co daje poecie nieklamany spokój egzystencjalny we własnym domu i pośród rodziny, kiedy tak czyni. Niepowodzenia życiowe w takim klimacie metafizyczno-poetyckim również nie budzą niepokoju, ale przeciwnie – jak pisze – (...) *W gorczyca życia odnajduję spokój / Schylam się po nie dotykając nieba*.

Poeta próbuje nawet opracować nowe „prawo wznoszenia się” ku górze poety, a tymi skrzydłami są dla niego kolejne wiersze odrywające go od ziemi. Prosi również o pomoc w tym podnoszenie się ku niebu Matkę Bożą z Medugorje, by sprzyjała jego drodze pomimo często niesprzyjającym „klimatycznym” uwarunkowaniom losu. Nie zadaje więc zbędnych pytań, bo wszelki jego wątpliwości znosi błękit nieba obecny nad jego głową, a „łódź życia” pruje i tak do przodu. Najchętniej poszukuje inspiracji dla własnych utworów poetyckich w codzien-

nych relacjach z otoczeniem, ludźmi, przyrodą, bo wtedy czuje ulgę ciężaru istnienia. W wierszu „Pojutrze”, od którego tomik wzięty tytuł, poeta ukazuje swoje zadowolenie z tego, że może przewyżczać siebie w stosunkach ze wspólnotą i liczyć na to, iż wszyscy kiedyś, może pojutrze, spotkamy się w wieczności, pełni radości i zadowolenia.

Cóż – ten nietypowy tomik Stępnia, odzwierciedlający jego uczucia i wiarę oraz przekonania metafizyczne – jest głęboko zapośredniczony w pięknie przyrodniczym Limanowej i okolic, i warto go czytać, by i dla siebie umieć znaleźć miejsce w świecie i w wieczności.

prof. Ignacy S. Fiut

Marek Jerzy Stępień, „Pojutrze”. Nakład autorski, Limanowa 2019, s. 32.



Przewrotna rozsyпка

Wydawnictwo Psychoskok z Konina pokusiło się o wydanie stosunkowo obszernego zbioru aforyzmów „Szpilki w rozsyпce” znanego poety i satyryka **Wojciecha Łęckiego**. Decyzja wydaje się bardzo trafiona. Książka zawiera niespełna 1300 jego rozbrakanych facecji, zapisanych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Zadziwiają one różnorodnością formy i treści. Aforystyka wymaga bowiem bardzo wysmakowanego operowania słowem, przemilowaniem, aluzją, ironią, interpunkcją, paradoksem... Często większego niż poezja. Język Łęckiego wydaje się wystarczająco giętki do wyświetlania tajemnic codzienności. Pozwoliło mu to wydobyć i wydrwić wiele niuansów współczesności przy pomocy niezwykle skrótowych, przeważnie jednozdaniowych wypowiedzi. Pomieszczone w książce aforyzmy, niezależnie od ich zaproponowanej we wstępie klasyfikacji, są kondensacją myśli, zmuszających odbiorcę do intelektualnego wysiłku, do odkrywania ich wieloznaczności w warstwie semantycznej i formalnej. Uderza, co typowe dla twórczości aforystycznej, mnogość i różnorodność treści, rodzajów i form, ale też osobowościowy i charakterologiczny wymiar tekstu, widoczny zwłaszcza w formie zaczepnej, prowokującej do refleksji często pojawiającym się na końcu pytaniem retorycznym. Pytaniem zachęcającym do zagłębienia się w sens spraw niekiedy pozornie oczywistych, a jakże trudnych do zwerbali-

zowania. Do poszukiwania odpowiedzi na podstawie osobistych doświadczeń, ale też do skonfrontowania prawd własnych ze spostrzeżeniami i optyką autora.

W zbiorze obok wielości sensów znajdujemy również mnogość inspiracji różnorodnej proveniencji. Donośny jest np. ton biblijny, można by sądzić, że przez wieki wyeksploatowany. Łęcki dowodzi, że jest on nadal aktualny, kiedy zaczyna o współczesność:

Przykład Kaina uczy, że i bestia może liczyć na sukces. I co z takiej nauki?

Po Barabaszu każdy łotr liczy na bezkarność.

W warstwie tematycznej widać też oddziaływanie sfery filozoficzno-etycznej, zwłaszcza epistemologicznej i werystycznej, stającej się tutaj pewną syntezą kategorialną, jak chociażby w celnych spostrzeżeniach typu:

Z prawdą można się minąć, ale nie można jej wyprzedzić.

Deszcz głupich słów ciągnie za sobą grad kłopotów.

Zlikwidowano etat błazna. Stąd tylu błaznów na innych etatach?

Obok przywołanej tradycji kulturowej najżywotniejszą inspiracją jest dla autora codzienność, zwłaszcza wnikliwa obserwacja obyczajów, rodzących dylematy moralne, pozostających w dysonansie do zapisów dekalogu:

Czy twórca może się poczuć bogiem, gdy stworzy własny świat?

Dlaczego czas przysługuje również tym, co go wykorzystują do niecných celów?

Niczym w zwierciadle odbija się w zawartych w tym zbiorze myślach współczesna rzeczywistość polityczna, poddana tu ocenie z pozycji trzeźwo myślącego patrioty, zirykowanego brakiem wyobraźni i odpowiedzialności decydentów:

Upadek narodu hańbi jego przywódców.

Polscy patrioci Solidarnością zadziwili świat i... roztrwonili całą do niej entuzjazm Polaków.

Krytyczny ton dostrzegamy również wobec instytucji Kościoła, którego bigoterię wyszydza:

Kościół wyświęca męczenników. Niosący radość na to nie zasługują?

I porządek boży czasem bies układa.

W omawianym zbiorze autor obnaża ludzkie słabości, rzutujące na jakość życia i obyczajów, chociażby instytucji małżeństwa, uszczypliwie skubiąc bluszcz kobiecej uczciwości:

Miał trudne życie z łatwą kobietą.

Ukochana kobieta bez trudu ukrzyżuje mężkę na własnych ramionach.

Jednocześnie przytomnie podkreśla, że:

Wrogowie rodziny są wrogami ludzkości!

Co krok potykamy się w zbiorze o prawdy paradoksalne, będące nośnikami smutnej refleksji nad słabościami i ograniczeniami człowieka, Chociażby:

Wierna żona najdłużej nosi żalobę po kochanku.

Każda wolność ma swojego pana.

Wyrafinowana ironia, oddająca poetycką błyskotliwość autora, stanowi rys charakterystyczny całego zbioru, czego dowodem są m. in. sentencje:

Tęcza: wstążka we włosach krajobrazu.

Człowiek zszedł z drzewa, bo nie mógł się utrzymać na wysokim poziomie.

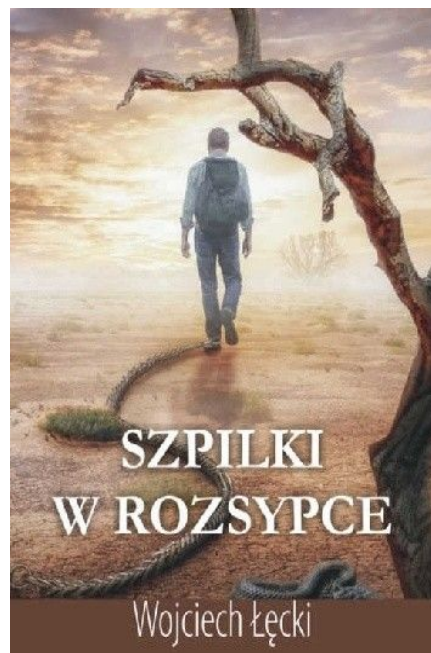
Autor niewątpliwie uczy nas poczucia humoru. Śmiejąc się z nim, sprawdzajmy czasem, czy ten śmiech nie wraca do nas smutnym echem lub czy nie śmiejemy się z siebie. To pierwsze zmusi do refleksji, to drugie może nam wyjść tylko na dobre. Łęcki-ironista mocny ton sarkazmu niekiedy tylko przełamuje delikatną nutą optymistycznej wiary w mądrość człowieka – kreatora rzeczywistości. Te stosunkowo rzadko występujące myśli-motywatory warto ponieść w sobie, by znój codziennych zmagania uczynić fascynującym. Poniżej zacytowane przekonania warto powtarzać jak mantrę, aż się wpiszą w naszą naturę:

Jeśli wierzyć, to jednak w człowieka. W końcu wymyślił niejednego boga!

Zło powstaje nawet z dobrych pobudek. Dobro ma zwykle pod górę.

Niosąc w pamięci te facecje, zapewne łatwiej iść pod wiatr.

Urszula Bereszczńska

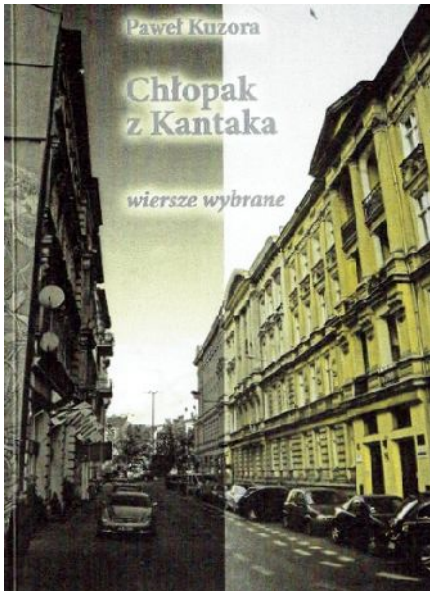


Wojciech Łęcki, *Szpilki w rozsyпce*. Wydawnictwo Psychoskok, Konin 2019, s. 124.

Portret chłopaka z ulicy Kantaka*

Paweł Kuzora zadebiutował we wrześniu 1979 roku w jednodniówce studentów Poznania pt. „Spojrzenia”. Po przeprowadzce w stanie wojennym – do Krakowa wraz z Marzeną Brodą, Romanem Batką, Andrzejem Januszem i Krzysztofem Szostakiem jako członkowie Koła Młodych przy Krakowskim Oddziale Związku literatów Polskich założyli Grupę Poetycką „Akwarium”, której istnienie w postaci kolumny wierszy zauważyło w kwietniu 1985 roku „Życie literackie”. Jako zjawisko grupa przestała wkrótce istnieć, a z jej członków oprócz Kuzory tylko Marzena Broda nadal para się twórczością literacką.

Autor był także założycielem i twórcą amatorskiego teatru „Endo”. Jest laureatem Turnieju Jednego Wiersza o „Jaszczurowy Laur” i Ogólnopolskiego Konkursu „Dać świadectwo”. Jego debiut książkowy to „Taniec na niebie”. Ponadto opublikował tomiki wierszy: „Kotwica moich snów”, „W dłoniach wiatru”, „To To” wraz z płytą z piosenkami do jego tekstów i muzyką Mateusza Hryniewiczza, „Dotyk”, prozę „Viki i Beza”, „Chłopak z Kantaka”, „Są” oraz „Pamiętnik znaleziony pod poduszką” – opowieść prozą dedykowaną wnuczce Zuzannie. Od wielu lat związany jest z grupą poetów „Každy” wywodzącą się z audycji Ryszarda Rodzika w nieistniejącym już Radiu „Alfa” – „Každy rodzi się poetą”.



Paweł Kuzora to według Elżbiety Byzdry-Rafy „kolekcjoner widnokręgów”, „Poeta zadziorny. Czas i przemijanie widzi z perspektywy „kurzej stopki” w kącikach oczu – to Ignacy S. Fiut.

Język Pawła Kuzory nie zawsze jest delikatny i poetycki... Zwracając uwagę na to jak

człowiek marnuje, zaniedbuje a czasem wręcz wypiera piękne wartości, jakimi są prawda, miłość – używa dosadnych, ostrych, czasem wręcz nieprzyjemnych porównań, które mogą wydawać niektórym rażące, ale których nie sposób zastąpić delikatnymi frazami.

(Aneta Kielan-Pietrzyk)

Paweł Kuzora oddaje nam to co nasze. Oddaje nasz zdeformowany świat, taki, który stworzyliśmy, by w nim: żyć, rodzić się, kochać i umierać. Taki, który nie pyta kim jesteś, ale który wie, że jesteś trybem w maszynie.

(Andrzej Walter)

Poeta nie eksperymentuje formalnie, nie stosuje wyrafinowanych chwytów, nie wydziwia aby zaszokować czytelnika. Jego utwory są klarowne, zbudowane logicznie, czasem z zaskakującymi pointami. Są nad wyraz czytelne - co nie jest zarzutem - ale zmuszają odbiorcę do własnych przemyśleń i do zastanowienia się czy podnoszone w nich problemy nie są te z częstą jego własnego ego.

(Andrzej K. Torbus)

„Goliard onieśmiela” – napisała jedna z wielbicielki poety. Nie byłbym tego na 100 procent pewien.

Andrzej Krzysztof Torbus

* Kazimierz Kantak (1824-1886) poseł do Sejmu Pruskiego, zasłużony działacz narodowościowy w Wielkopolsce.



Paweł Kuzora

Korzenie

kiedy byłem chłopcem
wspinałem się na drzewa
jak najwyżej do ostatniego
gniazda dalej byłeś już
tylko ty i tak jak w raj
dałeś mi kobietę
ona też jest drzewem
kocham ją aż do korzeni

Chłopak z Kantaka

zaden ze mnie ę czy też ą
jestem chłopakiem z Kantaka
kaleczyłem kolana na kamiennych
podwórkach biegając za gałą

dla hecy strzelaliśmy z procy
w czerwony neon Moulin Rouge

drewniane schody kamienicy
bębnity od naszych gonitw
niczym wojenne werble

w piwnicach tak mrocznych
jak brak nadziei
pomagałem tacie przy rozkruszaniu
brył węgla a płonące oczy szczerów
zdradzały ich kryjóWKi

dzisiaj z mojej ulicy
pozostały tylko numery
reszta przypomina człowieka
który stracił rozum z nadmiaru bogactwa

moja ulica Kantaka przeistoczyła się w ą i ę

Lęk

bo widzisz
gitara na ścianie
usycha jak krzyż

uwierz mi
to tylko noc
drży jak struna

boi się
fałszywych dźwięków
naszych kłamstw

Wynalazca

przyszedłem na świat
pod czujnym okiem cenzury
w ilości jednego egzemplarza
mój stary ze szczęścia urznął się w parku
ja rozwrzeszczałem się zżółkłem
w pierwsze urodziny
sięgnąłem po kieliszek
wujaszek powiedział że zostanę księdzem
przeżywając okres chłopięcych pieszczot
myślałem że jestem genialnym wynalazcą
nie powiedziałem o tym nawet siostrze
o piersiach jak niedopieczonych naleśniki

to że jestem to przypadek
widocznie jako plemnik
lubilem się dużo ruszać

To to

U nas coś się dzieje zawsze

Jak nie to to co innego
I nic się nie kończy
Co się nie zaczęło

W kamiennym świecie
Trzeba być z kamienia

By to zrozumieć
Drzewa sięgają nieba
I rozkwitają gwiazdami

A noc wisi tuż nad głowami
I trębac co odleciał z gołębia

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszczkowskiej (156)



Fot. Andrzej Dębkowski

Posłuszeństwo

Nową zaletą – w stosunku do cnót uznawanych przez mędrców starożytności – jest posłuszeństwo. Wskazano na nią w średniowieczu pod wpływem chrześcijaństwa i funkcjonuje ona nadal.

W starożytności szczególnie ceniono Prawdę, Dobro, Piękno. Przyjmowano, że człowiek jest wolny, to znaczy, że nie podlega wskazaniom moralnym pochodzącym od kogoś, czyli z zewnątrz. Życie zgodne z prawami świata przyrody, co cenili stoicy, nie pozostaje w sprzeczności z uznaniem, że człowiek jest wolny i ma decydować o sobie. Przeciwnością określonej cnoty, a więc pewnej doskonałości, był brak cnoty według poglądów starożytnych mędrców.

W średniowieczu cnota nabrała charakteru religijnego, bowiem jej przeciwieństwem stał się grzech – pojęcie na wskroś związane z wierzeniami religijnymi. Skłaniano do cnoty. Wywoływano lęk przed karą Boga za grzechy. Osiąganie cnót motywowane było i jest na gruncie filozofii chrześcijańskiej względami irracjonalnymi, to znaczy uczuciem miłości do Boga, jak również lękiem przed karą.

Cnota posłuszeństwa nakazom Boga i Kościoła do którego się należy, funkcjonuje wśród wiernych również w XXI wieku. Poważnie traktowana nie zostawia miejsca na wybiórcze przestrzeganie zarówno dogmatów, jak również nakazów moralnych.

Posłuszeństwo wobec Boga i miłość do niego – nowe cnoty wskazane w średniowieczu – prowadzą do poczucia zmniejszonej odpowiedzialności za własne życie, bowiem ma podlegać nakazom Boga i kapłanów.

W państwach demokratycznych XXI wieku funkcjonują instytucje totalne, które wymuszają posłuszeństwo i oparte są na wyrabianiu tej właściwości. Do takich instytucji należy wojsko, policja, system więziennictwa, by podać te przykłady. Posłuszeństwo wiąże się z hierarchicznym charakterem instytucji totalnych. Jest ono zaprzeczeniem traktowania jednostek jako równych sobie. Także niektóre partie poli-

tyczne, by wymienić jako przykład faszystowskie, są zespolone posłuszeństwem wobec decyzji wodza.

Posłuszeństwo rozmaicie się uzasadnia. Wywołuje je szacunek dla kogoś prowadzący do chęci podlegania jego woli. Posłuszeństwo bywa obowiązkiem, by zilustrować to na przykładzie relacji dzieci – rodzice. Powodem posłuszeństwa bywa też lęk przed skutkami nieposłuszeństwa. Lęk ten może wywoływać troska zarówno o życie, jak i o los duszy, jeżeli przyjmuje się teorię duszy nieśmiertelnej. Posłuszeństwo wobec Boga wiąże się z uznaniem jego niepojętej mocy i sprawiedliwości, jak również dobra, którego jest uosobieniem, mimo że skazuje na śmierć, choroby, głód.

Posłuszeństwo zwierzchnikowi w pracy, w instytucjach totalnych nie musi być zespolone z szacunkiem dla zwierzchnika. Wynika z funkcjonującej hierarchii. Natomiast dobrowolnym przejawem posłuszeństwa w tym sensie, że nie jest ono wywołane formalną zależnością, jest stosunek ucznia do mistrza.

Granice posłuszeństwa bywają wyznaczone poczuciem przyzwoitości. Otóż będąc od kogoś zależnym, korzystając z gościnności, czy będąc zależnym materialnie, należy liczyć się z wolą i życzeniami dobroczyńcy. Odnosi się to także do relacji między dziećmi a rodzicami. Dopóki nie opuszczą domu rodzinnego, obowiązują je niewątpliwie respektowanie reguł funkcjonujących w domu rodzinnym.

Granice posłuszeństwa rozciągają się na wiele przejawów życia o ile człowiek dorosły lęka się podejmowania decyzji i słucha wskazań innych osób.

Nieposłuszeństwo żołnierza w czasie wojny wobec rozkazów przełożonego grozi śmiercią. Bunt w więzieniach bywa ryzykowny, bowiem takie nieposłuszeństwo z reguły kończy się wzmocnionymi restrykcjami w stosunku do skazanych.

Posłuszeństwo ma dodatni sens dla kogoś, kto nie ma wyostrego poczucia wolności, lęka się życia, bądź jest wygodny. Nie on podejmuje decyzje – będąc posłusznym – dokonując wybory życiowe.

Szczęście i erotyzm

Szczęście to stan pełnej integracji psychiki człowieka. Innymi słowy, jest to stan w którym psychika zostaje scalona intensywnie jednym uczuciem. Racjonalizacja szczęścia prowadzi do osłabienia jego siły.

Immanuel Kant jako pierwszy rozdzielił problem szczęścia oraz sensu życia. Do szczęścia może prowadzić niezawodnie jedynie instynkt, czy raczej intuicja. W każdym razie, wykazał trafnie, że rozum w sposób zawodny wyznaczałby drogę do szczęścia. Filozof ten wyjaśnia, że fakt wyposażenia człowieka w rozum przez przyrodę, wskazuje na to, że są cele do których ludzkość powinna zmierzać, niezależnie od tego czy ich osiągnięcie wiąże się ze szczęściem. Sens życia z dążeniem do urzeczywistniania ideałów wiązał nie tylko Kant.

Szczęście to stan upragniony przez każdego. Masochiści również pragną szczęścia, aczkolwiek w sposób swoisty. Nie ma wątpliwości, że najmocniej każdego uszczęśliwia miłość erotyczna. Przynosi ona nieporównywalną siłę doznań i ponadto wiąże się z aprobatą ze strony drugiego człowieka.

Nie tylko powieści, filmy, malarstwo, muzyka, ale przede wszystkim poezja wyraża w sposób wyjątkowy urodę istnienia potęgowaną przez miłość erotyczną. Wzmaga ona poczucie radości istnienia oraz wyostrza doznania zmysłowe. Trzeba też dodać, że zamyka horyzont świata wokół tego, kto te uczucia wyzwala.

Smak czasu teraźniejszego również staje się bardziej wyrazisty pod wpływem przeżyć miłości erotycznej. W gruncie rzeczy nie ma znaczenia kto tę miłość wywołuje. Nie da się w kategoriach racjonalnych wyjaśnić dlaczego kocha się określona osoba. Jak powszechnie wiadomo, nie ma znaczenia w tej relacji ani różnica wieku, ani środowisko, ani wykształcenie, ani stan materialny. Miłość erotyczna wzmaga poczucie wolności. Jej nieokreślony charakter wywołuje próby ograniczenia przez systemy totalitarne.

Z miłością tą zespolone są rozmaite przesady. Wielu osobom pomoc przyniosła teoria Freuda i jego uczniów, którzy wyjaśnili, iż nieprawdą jest, że uczucie to ma związek z określonym wiekiem. Freud odkrył erotyzm dzieci, jak również ukrywany mocą obyczajów erotyzm w sędziwym wieku. Ze szczególnych, nieskrępowanych wyznań osób w tym wieku wynika, że erotyzm ma jeszcze większą siłę w ostatniej fazie życia człowieka, bowiem chroni przed lękiem wywołowanym wizją śmierci.

Siła uczuć bywa tak wielka, że nieważna staje się różnica wieku, czy odmienny poziom rozwoju intelektualnego. Isadora Duncan była namiętnie zakochana w o wiele młodszym od siebie Jesieninie. Jedną z miłości Zofii Nałkowskiej był młodszy od niej o kilkadziesiąt lat Alfred Łaszowski. Siłę doznań miłośno-erotycznych ograniczają zazwyczaj od pokoleń rozmaite przesady. Przewycięzanie ich wymaga odwagi.

Od wieków towarzyszy miłości erotycznej w kulturze chrześcijańskiej poczucie grzechu. Wątpliwe jest czy sfera życia człowieka o której tu mowa, powinna podlegać kategoriom dobra i zła. Wiąże się z tym pytanie czy słuszne są metody wychowawcze, których następstwem staje się wyostrene poczucie wstydu. Ogranicza on na przykład zdolność do wyrażania uczuć, co osłabia atmosferę namiętności.

Zniewolenie obyczajowe to silne ograniczenie tej istotnej sfery życia każdego z nas. Wiąże się to również z odległymi od humanizmu zakazami miłości erotycznej ludziom odznaczającym się niedorozwojem intelektualnym, chorym psychicznie, jak również niesprawnym fizycznie.

cdn.

Maria Szyszczkowska

Moja walka z rakiem

(2)

Zaraz po Nowym Roku, jak się umówiłem, dokładnie 3 stycznia zjawiam się w szpitalu na oddziale chirurgiczno-urologicznym z torbą, w której mam swoje rzeczy osobiste. Czekam aż skierują mnie na izbę chorych. Cywilne ubranie chowam do torby. Ubieram się w piżamę. Wykładam przybory toaletowe do szafki. I czekam dalszy ciąg. Wkrótce przychodzą pielęgniarki oddziałowe i robią mi badania temperatury, poziomu cukru we krwi itp. Potem mam się wykąpać, przebierać w koszulę przypominającą ubiór skazańców i wiozą mnie na specjalnym łożu do sali operacyjnej. Po dokonaniu krótkiej dezynfekcji zaczyna się wziernikowanie. Lekarze oglądają na ekranie stan mego pęcherza moczowego. Niestety, nie jest to przyjemne, ale cóż mam robić, by wrócić do zdrowia. Muszę się poddać wszystkim zaleceniom.

Następnego dnia, wykąpanego i głodnego, ubierają mnie w ten sam strój skazańca i znów pakują na to samo Madejowe łóżko i wiożą na salę operacyjną. Tam się rozpoczyna przygotowanie do zabiegu. Na wszystko wyraziłem wcześniej pisemną zgodę: na znieczulenie i wszystkie czynności z tym związane. Od rana jestem pod nadzorem anestezjologa i jego pomocnic. Czuję, jak moje ciało od pasa w dół staje się powoli bezwładne. Potem zabierają się za mnie chirurdzy urologicy, dr dr K. i S. Widzę, jak są nade mną pochyleni, słyszę, jak rozmawiają ze sobą i dyskutują. Pewnie widzą wszystko na ekranie, co jest w pęcherzu. Niestety, ja tylko oglądam pochylone nade mną głowy, nic więcej. Po zabiegu pielęgniarki przekładają moje bezwładne ciało w stroju skazańca na to samo łóżko Madejowe i wiożą na salę chorych. Przekładają z łoża na łóżko. Zaraz też podłączają do różnych rurek, z których do mego organizmu, a konkretnie do pęcherza, dostają jakieś płyny. Drogami moczowymi spływa też do worków mocz silnie zabarwiony krwią. Ze mną na pododdziale urologicznym, leży tylko jeszcze jeden pacjent. Jestem unieruchomiony, co nieco mogę poruszać tylko rękami. Całe ciało jest bezwładne. Wygłodniały i zmęczony zabiegiem zasypiam. W południe przychodzą lekarze: najpierw anestezjolog, dr Z., by sprawdzić mój stan, potem chirurg dr S., który dokonywał zabiegu, a wieczorem podczas wizyty prowadzący lekarz dr. K. Pytają o samopoczucie i mówią o przebiegu operacji. Dowiaduję się, że nie jest z moim pęcherzem dobrze: jeden guz został częściowo usunięty, ten najbardziej rozrośnięty, ale jeszcze jeden, ten mniejszy, pozostał, bo nie mogli się do niego dostać. Ale o wszystkim zadecyduje czas. Moje komórki nowotworowe zostały wysłane do zakładu histopatologii. Muszę czekać 2-3 tygodnie na wyniki. Leżę jeszcze w szpitalu parę dni. W poniedziałek zostaję wypisany i wracam do domu. Ulice są zaśnie-

żone. Idzie mi się bardzo ciężko. Ale po drodze chcę wpaść jeszcze do urzędu, bo mam podpisać prośbę o dotację do mojej książki. Kiedy szedłem do szpitala, o tym najwyraźniej zapomniałem. W ręce trzymam torbę z ciuchami, a w jej środku mam receptę i dokumenty, które dał mi prowadzący lekarz, dr K.

Zaraz po powrocie do domu idę do przychodni i wypisuję wniosek o zmianę lekarza rodzinnego. Uzasadniam to krótko lekceważącym stosunkiem B. do pacjenta i jego ignorancją medyczną w opiece nad ludźmi w wieku zaawansowanym. Akurat trafiam na korytarzu na panią dr S. i pytam, czy przyjmie mnie pod swoją opiekę. Mówię też ze spuszczonej głową, dlaczego składałem taką prośbę i dlaczego rezygnuję z B. Przyjmuje to ze zrozumieniem.

Czekam cztery tygodnie na wyniki z histopatologii. Kiedy wreszcie otrzymuję do rąk, od razu zgłaszam się do pokoju lekarzy na chirurgii. Dr K. niestety jest na urlopie. Dr S., który mnie też operował, wyjaśnia mi krótko, co one znaczą, ale mówi mi, że muszę się skontaktować bezpośrednio z dr. K., który jest moim lekarzem prowadzącym, bo taka obowiązuje procedura. Muszę zatem czekać aż dr K. wróci. Trwa to bodajże 2 tygodnie. Przychodzę rano między 8 a 9 na oddział chirurgiczny. Lekarze są podczas wizyty chorych, ale najważniejsze, że jest dr K. Wreszcie widzę doktora na korytarzu i pokazuję mu wyniki z histopatologii. Załatwia sprawę krótko: nie jest źle. Każę mi wziąć pismo z sekretariatu i zarejestrować się na jutrzejszy dzień, bo przyjmuje chorych od 9.00. Idę z pismem do rejestracji, czekam cierpliwie w kolejce, aż docieram do okienka. Pani z rejestracji nie chce mnie przyjąć i na jutrzejszy dzień zarejestrować, bo nie ma podpisu lekarza.

– Jak pójdę do niego, gdy on przygotowuje się już zapewne do operacji albo już może operuje. I znów przyjdę i będę czekać? Przecież jest wszystko – wołam burzono i zdenerwowany. Gdyby sekretarka oddziałowa nie miała dyspozycji lekarza, to skierowania na jutro bym nie dostał – zżymam się.

W końcu pani rejestratorka zdenerwowana wychodzi z pismem, potem wraca i krzyczy do mnie:

– Jutro rano doktor skierowanie podpisze, ale jak pan się będzie awanturował, to wcale pana nie przyjmie.

No i masz tu babo kłops.

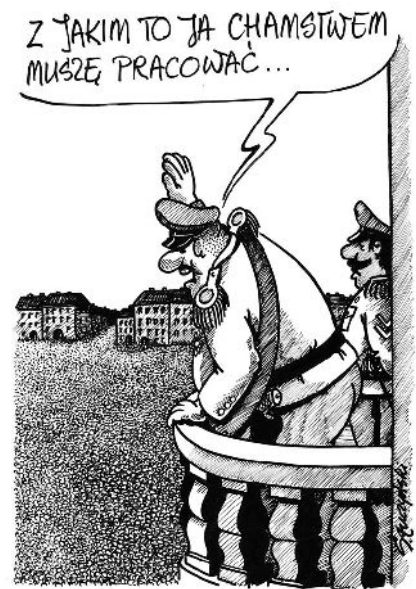
Następnego dnia rano stoję w kolejce, gdzie przyjmuje dr K. Widzę, że coraz więcej ludzi przybywa, a ja nadal nie jestem pewny, czy mnie doktor przyjmie. Idę na górę na oddział, ale doktor jest zajęty. Boję się, że ucieknie mi kolejka i wracam na dół pod gabinet. Tłum coraz większy. Po godzinie zjawia się dr K. i zaczyna przyjmować. Idzie to nawet szybko. Ciągle, co 15-20 minut – muszę wchodzić do toalety. Akurat w tym czasie, jak się okazało, wyczytują moje nazwisko. Gdy tylko opuści gabinet ostatni pacjent, mówię, że byłem wyczytywany, ale musiałem iść za potrzebą. Niestety. Doktor spojrział na mnie podpisał wczorajsze skierowanie, a jednocześnie powiedział:

– Przyjmę pana na końcu, bo ci wszyscy czekają już na mnie od 3 miesięcy.

– Podporządkuję się, panie doktorze, choć to jest akurat moja kolejka, którą zajęłem dziś rano – odpowiadam.

Ale już więcej nie dyskutuję i wychodzę z gabinetu i czekam cierpliwie na koniec. Przede mną jest jeszcze trochę ludzi, ale moje emocje i niepewność opadły. Wiem już, że będę dziś przyjęty, nieważna godzina. Nauczyłem się już cierpliwie na wszystko czekać.

Mirosław Osowski



Rys. Sławomir Łuczyński

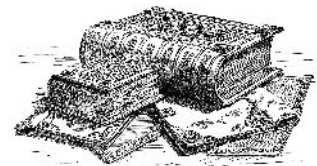


Małgorzata Łaskawiec

zjawiska

jesteśmy zjawiskami jak gwiazdy które jaśnieją spadają i gasną jesteśmy jak zapach kwiatu który rozciąca swoją woń by z wiatrem ulecieć

jesteśmy jak blask co gaśnie w środku dnia i jak mgła co przemija o świcie



POEZJA

Jerzy L. Kaczmarek, *Niewidzialny stygmat*. Zdjęcie na I stronie okładki: Tomasz Matusewicz. Fotografia na IV stronie okładki: Cezary Gwóźdź. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 167. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2019, s. 80.

Wojciech Kass, *Objawy*. DTP Marcin Ekert. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 168. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2019, s. 64.

Jakub Kornhauser, *Dziewięć dni w ścianie*. Okładka i koncepcja graficzna: Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 179. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2019, s. 52.

Krzysztof Lutowski, *Czytając poetów przeklętych*. Zdjęcie na okładce: Rafał Budzbon. Projekt okładki: Mamiko. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2018, s. 60.

Maciej Melecki, *Bezgrunt*. Okładka i koncepcja graficzna: Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 182. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2019, s. 118.

Alicja Rosé, *Północ przypowieści*. Postłowie: Stanisław Balbus. Projekt okładki: Olgierd Chmielewski. Grafiki wykorzystane na okładce i w książce: Alicja Rosé. Fotografia autorki: Valdis Jansons. Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, s. 96.

Marek Kazimierz Siwiec, *Przebyłsk. Wiersze londyńskie*. Fotografie na okładce ze zbiorów Marka Kazimierza Siwca. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2019, s. 88.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, *Dwie główne rzeki*. Okładka i koncepcja graficzna: Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 178. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2019, s. 58.

Ryszard Wasilewski, *Siewy i ściernisko*. Projekt okładki: Sławomir Łuczynski. Biblioteka „Poezji dzisiaj”, tom XXII. Wydawca: Wydawnictwo Książkowe IBIŚ, Warszawa 2019, s. 80.

Aleksander Wierny, *Sygotka*. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom 13. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2019, s. 46.

Marek Zagańczyk, *Berlińskie widoki*. Opracowanie graficzne: Marianna Cielecka. Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2019, s. 30.

Jerzy Zagórski, *Wiersze wybrane*. Wybór i postłowie: Żaneta Nalewajk. Projekt: Michał

Kaczkowski. *Biblioteka Zapomnianych Poetów*, tom 16. Ośrodek „Brama Grodzka, Teatr NN”, Lublin 2019, s. 108.

Jurij Zawadski, *Wolny człowiek jeszcze się nie urodził*. Przełożył: Marcin Gaczkowski. Zdjęcie autora: Anna Zołotniuk. Grafiki na okładce i w książce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *szenaście i pół*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezzecze 2019, s. 60.

PROZA

Alejo Carpentier, *Podróż do źródeł czasu*. Przełożyła: Kalina Wojciechowska. Postłowie: Rajmund Kalicki. Projekt okładki i stron tytułowych: Łukasz Piskorek / Fajne Chłopaki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018, s. 352.

Wojciech Chmielewski, *Magiczne światło miasta*. Projekt okładki: Katarzyna Trzeszczkowska. ARCANA, Kraków 2019, s. 204.

Marian Czuchnowski, *Czarna Koronka*. Opracowanie: Michał Stefański. Postłowie: Wacław Lewandowski. Projekt graficzny: Magda Maicyńska-Umeda. Oficyna u, Warszawa 2019, s. 346.

Jacek Durski, *Okno*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agata Pierikowska. Fotografia na IV stronie okładki: Jerzy Czapnik. NORBERTI-NUM, Lublin 2019, s. 214.

Wacław Holewiński, *Pogrom 1906*. Projekt okładki i stron tytułowych: Mimi Wasilewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 368.

Feri Lainšček, *Nietykalni. Mit o Cyganach*. Przełożyła: Joanna Pomorska. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne: Janusz Fajto. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2019, s. 144.

Petros Markaris, *Kasacja po grecku*. Druga część *Trylogii kryzysu*. Przełożył: Przemysław Kordos. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 384.

Yukio Mishima, *Wyznanie maski*. Przełożyła: Beata Kubiak Ho-Chi. Ilustracja na okładce: Keiji Matsumoto. Projekt okładki: Anna Sztwiertnia. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 238.

Oleg Pawłow, *Dziennik szpitalnego ochroniarza*. Przełożył: Wiktor Dłuski. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 136.

Akutagawa Ryunosuke, *Kola zębate*. Przełożyła: Katarzyna Sonnenberg-Musiał. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019, s. 360.

Żanna Słoniowska, *Wyspa*. Projekt okładki:

Tomasz Majewski. Fotografia na okładce: Mathieu Rivrin / Moment / Getry Images. Zdjęcie autorki: Agnieszka Skawiańczyk. Znak Litera Nova, Kraków 2019, s. 272.

Jan Stępień, *Refleksy*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Korekta: Agnieszka Repczyńska. Zdjęcie autora z archiwum domowego. Redaktor serii i tomu Łucja Dudzińska (tom 43). Wydawca FONT, Poznań 2019, s. 64.

Bartosz Suwiński, *Bura. Notatnik chorwacki*. Zdjęcie autora: Dominika Suwińska. Obraz na okładce: Tomasz Bohajedyn. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezzecze 2019, s. 40.

Witold Turant, *Metapolis*. Opracowanie graficzne: Marek J. Piwko. Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae, Skarb Śląski, Katowice 2019, s. 240.

Sławomir Wernikowski, *Passacaglia*. Zdjęcie autora i zdjęcie na okładce: Sławomir Wernikowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *15 piętnastka*. Wydawnictwo FORMA, Dom Kultury 13 Muz, Szczecin, Bezzecze 2019, s. 220.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Wojciech Cejrowski, *Piechotą do źródeł Orinoko*. Tekst i zdjęcia: Wojciech Cejrowski. Opracowanie plastyczne oraz plastyczny kształt serii „Biblioteka Poznaj Świat”: Wojciech Cejrowski Sp. z o.o. Tłumaczenie z języka hiszpańskiego: Helena Trojańska. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Łukasz Ciepłowski. Redakcja: Edyta Urbanowicz. Korekta: Edyta Urbanowicz, Monika Lipińska, Piotr Koperski. Korekta hiszpańska: Edyta Urbanowicz. Mapy: Agnieszka Rajczak. Opracowanie zdjęć: Łukasz Ciepłowski. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 408.

Zofia Ciecierska, *Do lasu po zdrowie. Las jako skarbiec darów natury*. Opracowanie graficzne, korekta: Oficyna Wydawnicza Edytor.org, Lidia Ciecierska. Zdjęcia: depositphotos.com, stock.chroma.pl. Fotografia na okładce: istock/KariHoglund. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 126.

Zofia Ciecierska, *Jak czytać wyniki badań? Najnowsze interpretacje*. Opracowanie graficzne, korekta: Oficyna Wydawnicza Edytor.org, Lidia Ciecierska. Zdjęcia: depositphotos.com. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 128.

Maria Szyszkowska, *Człowiek, jako cząstka ludzkości*. Zdjęcie na okładce i rysunki: Jan Stępień. Projekt okładki: Aneta Tumieli. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2019, s. 208.

„Refleksy” Jana Stępnia

Upały

Wreszcie nadeszła pora upałów. Ludzie narzekają, że za gorąco... Ale ja kocham upały. Niektórzy się dziwią, pytają:

- I panu nie szkodzi to gorąco?
- Wręcz przeciwnie. Jestem bardzo ciepłolubny - odpowiadam uśmiechnięty. Tym, którzy myślą, że żartuję, dodaję:
- Mam krew tatarską, więc dobrze się czuję w czasie upałów.

Niektórzy zadają kolejne pytanie:

- A zimę pan lubi?
- Lubię, bo muszę - odpowiadam już bez uśmiechu.

Tadeusz

Głośno rozmawiamy. W pewnej chwili Tadeusz odzywa się zdecydowanym tonem:

- Bardzo proszę o ciszę.
- Milkniemy zaskoczeni jego prośbą. Zalega cisza, którą przerywa Tadeusz.
- Dziękuję wam za pomnik - uśmiecha się tajemniczo.
- Jaki pomnik? - pytam zdziwiony.

Przez niecałe pół minuty zbudowaliście pomnik ciszy. Czy to nie piękny pomnik? - mówi podekscytowany Tadeusz.

- Na pewno bardzo oryginalny. Ale nie wiedziałem, że z ciebie taki poeta.

Ludziki

W czasie ostatniego wernisażu podchodzi do mnie uśmiechnięta pani i pyta mnie, dlaczego nie daję tytułów pod swoimi rysunkami.

Nie jestem zaskoczony (często mnie o to pytają), odpowiadam, że pragnę, by każdy sobie sam wymyślił tytuł. Nie chcę nikomu narzucać interpretacji. Nie chcę ograniczać wyobraźni tego, kto ogląda moje ludziki.

Uśmiechnięta pani patrzy na mnie bawczo i bardziej stwierdza, niż pyta:

- Pan może nie wie, jaki dać tytuł. Może pan rysuje nieświadomie.

- Być może, być może - odpowiadam z uśmiechem.

Nałęczowski kloszard

Siedzimy na ławeczce przy drewnianym płocie. Piję piwo z nałęczowskim kloszardem.

Przed wszystkim lubię go za to, że lubi milczeć. Przy trzecim łyku „Perły” odzywa się:

- I po chuj oni się tak napinają? Przecież i tak wszyscy pójdziemy do piachu!

Zapada milczenie, które cenimy, nie wytrzymuję i pytam:

- Ale o kim pan mówi, panie Józiu?
- Jak to o kim?! O wszystkich, kurwa! O wszystkich!

- O mnie też? - próbuję się uśmiechnąć.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę w zamyśleniu i odpowiada pytaniem:

- A jak pan myśli, panie Jasiu?

Dusza

Wczoraj rozmawiałem z sąsiadem o duszy. Niedawno stracił ukochanego psa. Spotykam go na schodach i mówię:

- Przykro mi, że pana pies umarł.
- Nie umarł! Zdechł! - odpowiada niezbyt grzecznie.

Sądzę, że zwierzęta jak ludzie - umierają, a nie zdychają. A on znów powtarza, że zdychają, bo nie mają duszy. Wtedy porytowym głosem pytam go, skąd wie, że zwierzęta nie mają duszy?

- Gdyby pan chodził do kościoła, to by pan wiedział, że dusze mają tylko ludzie!

Roześmiałem się i odparłem, kończąc rozmowę:

- Mam stare żelazko i ono też ma duszę!

Kartki

Niedawno spytałem nieznanego, który kiedyś był sędzią piłkarskim, czy jego koledzy po fachu mogą karać piłkarzy na boisku za rynsztokowy język?

- Mogą - odparł rozbawiony.
- Więc dlaczego tego nie robią?
- Jeszcze bardziej rozbawiłem go tym pytaniem.

- Gdyby sędziowie karali za, jak pan powiedział, rynsztokowy język, to większość meczów kończyłoby się przed czasem z powodu braku zawodników na boisku.

Emerytura

Kilka dni temu zatelefonował do mnie znajomy i przestraszonym głosem mówi:

- Wiesz, przestałem krytykować Żydów.
- A co się takiego stało, że przestałeś? - pytałem zaintrygowany.

- A, bo wiesz, tydzień temu przeszedłem na emeryturę.

- I co z tego?
- A to z tego, że mogą mi zabrać emeryturę!

- Ale kto może ci zabrać emeryturę? -

moja ciekawość sięgnęła prawie zenitu.

- Głupi jesteś?! - zdenerwował się znajomy.

- Może jestem głupi, ale nadal nie wiem, kto chciałby ci zabrać emeryturę?

- Jak to kto?! Żydzi!

Mozart

Maria wsiada do samochodu i mówi rozczarowana:

- Klozet na tej stacji jest wyjątkowo mało przyjemny.

- Wolałabyś, żeby grali w nim operę Mozarta? - pytam z uśmiechem.

- Bez przesady, Jasiu, ale powinno być czysto i schludnie.

Jedziemy w milczeniu. Nagle Wojtek się denerwuje, bo jakiś pirat drogowy wyprzedza go na podwójnej ciągłej.

- A wiecie, że w japońskich klozetach na stacjach benzynowych włączają muzykę? - przerywam milczenie.

- Można się skupić? - pyta zaskoczona Maria.

- Jeśli to nie disco polo, to chyba można - odpowiadam, a Wojtek zaczyna się perłście śmiać.

Wojtek

Jedziemy z Marią na widzenie z Wojtkiem, naszym sąsiadem. W stanie silnego wzburzenia emocjonalnego, śmiertelnie ugodził nożem narzeczoną, która go zdradziła z jego przyjaciелеm.

- Myślisz, że da sobie radę w więzieniu? - pyta zatroskana Maria.

- Nie przejmuj się, na pewno Wojtek da sobie radę.

- I nie będzie głodny?
- Nie, Mario, bo w naszych więzieniach znacznie lepiej karmią, niż w naszych szpitalach.

Piorun

Pod nałęczowską piekarnią podchodzi do mnie nieznaną kobietą i zaskoczona pyta:

- To pan żyje?
- A dlaczego mam nie żyć?! - odpowiadam przestraszony.

- No, bo mówili, że w pana strzelił piorun!

- Strzelił, obok mnie. Ściął drzewo sąsiada, ale jak pani widzi, jeszcze żyję!

- To znaczy, że będzie pan długo żył - mówi nieznaną i odchodzi.

A ja zastanawiam się, dlaczego piorun, jeśli mnie nie zabił, spowoduje, że będę długo żył.